Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok X. Warszawa, 7 listopad 1954 r. Nr 45 (467)

TADEUSZ PAJDA

W zagubionym miasteczku

W miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi — rozległy, mało zabudowany rynek pustoszał coraz bardziej. Ludzie załatwili w spółdzielni, punkcie skupu czy w Radzie Narodowej ostatnie sprawunki i teraz zatrzymują się jeszcze na chwilę tu i ówdzie przed straganami, oglądając po raz nie wiadomo który z kolei te same tandetne, jarmarczne wyroby, po czym zwolna opuszczają plac targowy. Nikt nigdzie się nie śpieszy: zamieszkali w rozsianych po górskich stokach przysiółkach ludzie i tak skazani są podróżowanie *per pedes apostolorum*. Ale mimo tego nikogo już nie zachęcają do kupna ani krzykliwe reklamy przekupniów, ani gorliwe zapewnienia o wyjątkowej jakości kolorowych fatałachów.

Za dużym, przykrytym podziurawioną celtą straganem na skraju rynku rozlega się krzyk:

— Ludzieeeeee, ludzieeeeee, nie pchajcie się...

Ale jakoś nikt na to nie reaguje. Jarmark dobiega końca, a zresztą i tak wszyscy wiedzą, że to tylko naiwny chwyt reklamowy handlarza, który pragnie zarobić parę złotych, uszczęśliwiając ludzi rewelacyjnym preparatem przeciwko insektom.

W ów październikowy, targowy czwartek takie właśnie odniosłem wrażenie ze spotkania z Rajczą, miejscowością nie tyle położoną, ile zagubioną u źródeł Soły w Beskidach. — Wokół kościoła złociły się stare dęby. Ostatnie promienie słońca zatrzymywały się jeszcze gdzieniegdzie na wierzchołkach smukłych świerków i niepostrzeżenie znikały. Z daleka dolatywał szum odbijającej się o kamienne dno rzeki. Mijał jeden z tych kolorowych dni, jakimi hojnie obdarzyła nas tegoroczna jesień.

1.

Przed wojną było tutaj parę knajp, kilkanaście dobrze prosperujących sklepików i nuda jesiennych wieczorów. Latem przyjeżdżało do Rajczy sporo ludzi, tzw. letników. Wynajmowali wtedy ludziska — za kilkadziesiąt złotych — swoje i tak ciasne chałupy, sami zamieszkując na stryszkach czy nawet w stodołach. Dzieci zbierały jagody leśne i grzyby, z którymi szły później do handlarza. — Nieliczni otrzymywali pracę w lesie lub tartaku — i tym wiodło się nieźle. A reszta? Reszta — ot, reszta wegetowała.

Byli jednak tacy, którzy nie godzili się z takim życiem. Ci szli do Prus, a nawet wyjeżdżali do Francji czy — jak mówiono — „Hameryki". Niektórym nawet się powiodło. Przysyłali wówczas pieniądze lub wracali i budowali sobie obszerne domy kryte dachówką i budzące zazdrość sąsiadów.

— Ten ci miał szczęście — mawiano. Zachęcało to nową z kolei partię młodych zdrowych ludzi do emigracji. A rzecz nie była wcale łatwa: trzeba było znaleźć przewodnika i zapłacić mu pożyczonymi często na gruby procent pieniędzmi. Decyzja dość ryzykowna. Bo znowu po pewnym czasie ten czy ów wracał: jeden z pieniędzmi, inny z gruźlicą. Byli też tacy, co ani pisali, ani nie przysyłali pieniędzy. Współczuli wtedy ludzie biednej, przygarbionej matce.

— Ot, taki on, lekkiego chleba mu się zachciało, o matce zapomniał.

A „marnotrawny" syn, zagubiony w wielkim świecie zazwyczaj rzeczywiście nie myślał już o matce — nie żył.

Taki na przykład Ciurlacki. Był jeszcze niestarym człowiekiem. Źle żył z rodziną, brakowało mu na to pieniędzy.

— Oho — mówiono z wiosną — Ciurlacki już idzie „na Saksy".

I chodził tak każdej wiosny, na zimę wracał do domu coraz słabszy i coraz bardziej zmizerowany. Ale pewnej wiosny Ciurlacki nie ruszył się z chałupy. Siedział przed domem i wygrzewał się w słońcu, coś tam strugając w drewnie. Niedługo, bo w parę tygodni później zawieziono go na cmentarz.

— Taki był chłop a jednak go zmogło. Ot, suchoty... — mówiła sąsiadka Ciurlackiego układając pod daszkiem czerwoną dachówkę, ten zadatek przyszłego dobrobytu.

Tak to wszelkimi możliwymi sposobami zdobywano pieniądze, które spełniały wówczas — obok wszystkich innych funkcji, o których mówią podręczniki ekonomii — funkcję miernika pozycji społecznej. Ciurlacki, jak tysiące jemu podobnych ludzi, nie rozumiał zjawisk społecznych. Dla ludzi jego typu — wzbogacić się, mieć pieniądze — znaczyło tyle, co — po prostu być człowiekiem.

Obszerny, kryty czerwoną dachówką dom nabierał cech symbolu.

2.

Dzisiaj wiele się tutaj zmieniło. Zmieniło się niemal wszystko: i wygląd tej malowniczo położonej miejscowości, i ludzie, i samo życie. Pozostała jedynie tamta nuda jesiennych wieczorów. Lecz zmiany te nie oznaczają wcale, że w Rajczy jest wszystko tak, jak być powinno. Ale...

Epoka nasza dociera wszędzie. Dlatego też ludzie w Rajczy korzystają ze wszystkich osiągnięć tego wielkiego przełomu, który jest udziałem naszego pokolenia. Nikt się nie dziwi, że matki korzystają tu z izby porodowej, dzieci z dobrze prowadzonego przedszkola. Przeciwnie — dziwiono by się, ba, nawet oburzano, gdyby tego nie było. W miejscowej spółdzielni kobiety wiejskie pytają, dlaczego nie ma winogron, że przecież „w Żywcu są".

Te same kobiety przed Wrześniem kupowały „ćwiartkę" cukru.

3.

Józef Ćmiel — jest od trzech lat przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej w Rajczy. Niełatwo się na to zdecydował.

— Zostańcie lepiej Ćmielu w domu — mówiono nowemu przewodniczącemu — i tak nie podołacie.

— A wtedy... — dodawali niektórzy, urywając w połowie zdania.

Ćmiel rozważał wszystkie głosy, nawet złośliwa plotka nie uszła jego uwagi. Źle czuł się w prezydium GRN. Lecz powoli, z przysłowiowym uporem zdobywał trudną sztukę gospodarowania. Robił przy tym błędy, to prawda. Ale kto, komu przyszło dojrzewać w działaniu, ich nie robi?

— Wiecie — mówi dzisiaj przewodniczący o tamtych pierwszych dniach — jak byłem na tym kursie, to trudno, bardzo trudno było się odezwać. Ale dziś... e, dziś to co innego.

Oczywiście Ćmiel nie jest idealnym gospodarzem powierzonego jego pieczy terenu. Brak mu przede wszystkim doświadczenia. Ale takim ludziom, szczerze przejętym sprawą wznoszenia nowego ustroju — można ufać. I to jest naczelną ich zaletą.

4.

Rajcza do dziś pozostała miejscowością letniskową. Każdy, kto tutaj przyjeżdża, chwali sobie malownicze beskidzkie widoki i rzeźkie, górskie powietrze. Poza tym Rajcza przedstawia niezbyt budujący widok: nienaprawiane od lat chodniki, ulice pełne wybojów, piękny (niegdyś!) park z pasącymi się krowami, zniszczony kort tenisowy, zaniedbane klomby i parę źle zaopatrzonych sklepów gminnej spółdzielni. Jest tu jeszcze obszerna, wilgotna i zadymiona knajpa (również spółdzielcza), której wiecznie zamknięte okna wybitnie podnoszą jakość rajczańskiego powietrza...

Obserwując już mocno wstawioną klientelę tego przybytku przypomniałem sobie wygłoszone podczas ostatniej, XII sesji Rady Kultury i Sztuki, przemówienie delegata z Krakowa. Pamiętam, jak ów obywatel rozwodząc się wówczas nad rozwojem placówek kulturalnych w swoim województwie — mówił o pewnej przodującej miejscowości posiadającej doskonały zespół baletowy. Tą miejscowością była Rajcza.

Cóż, jeśli się już jest na miejscu trzeba to zobaczyć — pomyślałem. Lecz długo po całej Rajczy i okolicy szukałem tego zespołu, wypytywałem wielu ludzi, lecz — nikt o nim nic nie wiedział. Czy zatem ciut, ciut, nie przesadziliście — obywatelu z krakowskiego Wydziału Kultury i Sztuki?

W Rajczy istnieją zasadniczo trzy placówki kulturalne: biblioteka, świetlica i kino, z których zaledwie pierwsza należycie spełnia swoje zadanie. O świetlicy najlepiej mówi miejscowa gospoda *). Zawsze gwarna, pełna wulgarnych pijackich przyśpiewek, obfitująca w niezbyt budujące sceny mordobicia — posiada wśród swojej stałej klienteli wcale sporą część uczestników wieczornych zajęć w świetlicy. Nie będę się nad tym faktem dłużej rozwodził. Pisałem o tym niedawno, jednak przytoczę pewien dosyć charakterystyczny szczegół: kiedy przed paroma miesiącami usunięto z żywieckiego liceum kilku uczniów z Rajczy, rodzice orzekli:

— Ot, do czego doprowadziła świetlica...

I kto wie czy nie mieli racji. Warto więc by tym zdarzeniem zainteresowały się odnośne władze w Żywcu i Krakowie. Przecież nie można pozwolić, aby ta czy inna kierowana przez niewłaściwego człowieka świetlica podrywała zaufanie do całej tej cennej inicjatywy.

5.

Tak się składa, że w Rajczy bywam stosunkowo często — obserwuję więc z bliska przemiany, jakie stale dokonują się tutaj. A przemiany te noszą na sobie jeszcze ciągle piętno d y s p r o p o r c j i, i to dysproporcji dwojakiego rodzaju: jedne wynikają z różnicy, jaka zachodzi pomiędzy możliwościami stworzonymi przez państwo ludowe a ich wykorzystaniem przez obywateli, zaś drugie powoduje nierównomierność rozwoju materialnego — z jednej strony, a rozwoju świadomości ludzkiej — z drugiej.

Taki stan rzeczy nie jest zbyt budujący, lecz pamiętajmy, że wraz z szeregiem różnorodnych przestarzałych nawyków, jakie wytworzył dawny ustrój, przetrwało do dziś również szereg biurokratycznych przyzwyczajeń różnych „urzędasów", którzy usiłują nie gospodarować, lecz administrować terenem. Co prawda przeprowadziliśmy szereg zmian, korektur i ulepszeń. Pozwoliło to na ściślejsze powiązanie obywateli z władzą ludową, na wzrost ich odpowiedzialności oraz udziału w kierowaniu życiem w swoich gminach.

Niedługo wybierzemy nowe rady narodowe. Nowy samorząd wybiorą również obywatele w zagubionej u źródeł Soły w Beskidach Rajczy. I od tego, kogo wysuną rajczanie jako kandydatów na swoich radnych — zależeć będzie zarówno właściwe zaopatrzenie w towary sklepu gminnej spółdzielni jak i mieniący się barwnym kwieciem park, nowy dom kultury, jasne światło żarówek pod nieco niskimi pułapami domów oraz przydatność czwartkowych jarmarków.

Tadeusz Pajda

rys. Bohdan Śleskin

*) Dosyć często wspominam tutaj o tym przybytku Bachusa. Niewtajemniczonych śpieszę jednak poinformować, że gospoda w życiu mojego małego miasteczka posiada o wiele szersze znaczenie niż to, do jakiego predestynowałoby ją jej właściwe przeznaczenie...

WOJCIECH WIECZOREK

CZAS potoczył się naprzód

Pamiętnej nocy jesiennej lud rosyjski zdobył swą bastylię. „Po opustoszałych ulicach przycichłego Petersburga mroźny wiatr pędził papierowe śmiecie — strzępki rozkazów wojskowych, afiszów teatralnych, wezwań „do sumienia i patriotyzmu" narodu rosyjskiego... Było to wszystko, co pozostało po niedawnym jeszcze, hałaśliwym i pijanym zgiełku stolicy. Z obdartych i błotnistych ulic zniknęły świetne pojazdy, eleganckie kobiety, oficerowie, urzędnicy, działacze społeczni z niespokojnymi myślami... Rosjanie przeważnie osiadali na ziemi. A po chałupach, jak w pradawnych czasach świeciło łuczywo i baby naciągały osnowę na warsztaty tkackie po prababkach. Czas, zdawało się, potoczył się wstecz, w minione wieki. Było to zimą, kiedy zaczynała się Rewolucja Październikowa..."

Odtworzona mistrzowskim piórem Aleksego Tołstoja surowa sceneria rewolucji pozwala nam wczuć się w nastrój tamtych, brzemiennych dla przyszłości wydarzeń. Odkrywać je na nowo poprzez myśli i uczucia ludzi — aktorów i statystów dramatu narodzin nowej epoki. Dla wielu z nich to, co się wówczas działo, przechodziło granice rozsądku i wyobraźni. Oto padła dynastia Romanowych, oto ginęły bezpowrotnie tysiącletnie przywileje możnych i szlachetnie urodzonych. Na kopułach Pałacu Zimowego i Kremla płonęła czerwień sztandarów, zatkniętych ręką mieszkańców miejskich zaułków. Całą Rosję ogarniał pożar wojny domowej, który spopielał miasta i sioła, unieruchamiał fabryki, obezwładniał organizm imperium carów. Było wielu takich, którzy wróżyli rewolucji rychłą zgubę. Wydawało się rzeczą nieprawdopodobną, by sprzymierzonym przeciw niej potęgom starego świata mogły się oprzeć wątłe tkanki dopiero co ustanowionej władzy robotników i chłopów. Te niewczesne nadzieje jednych i niepokój drugich przekreśliła rzeczywistość.

Jakie znaczenie miało zwycięstwo Rewolucji Październikowej dla przyszłych pokoleń? Mówienie o tym, na progu trzydziestego ósmego roku jej oddziaływania na bieg historii, nastręcza zrazu pokusę banalnego potraktowania spraw wcale nie banalnych: powtórzenia słusznych lecz mniej więcej powszechnie znanych uogólnień o dokonanym wówczas wyłomie w kapitalistycznym systemie społeczno-gospodarczym. Nie kwestionując celowości, a nawet konieczność przypominania sobie minionych wydarzeń, rocznicowa zdawkowość byłaby jakimś zniekształcaniem ich wymowy. Zainicjowana w Rosji, w październiku 1917 roku rewolucja socjalistyczna nie kwalifikuje się bowiem jako temat już tylko historycznych rozważań. Pozostaje ona nadal żywa przez swą obecność we współczesności.

Rewolucja socjalistyczna jest rewolucją szczególnego rodzaju. Podjęta w imię wyzwolenia proletariatu od wyzysku i zakorzeniona w klasowości, swymi konsekwencjami sięga w bezklasowość. Wyrosła z międzynarodowych potrzeb wszystkich wyzyskiwanych — jest dźwignią niepodległości narodów. Oparta na zrozumieniu roli materialnych uwarunkowań człowieka, urzeczywistnia jego faktyczne wyzwolenie spod obsesji zewnętrznych konieczności; czyni go panem przyrody i świadomym twórcą swego losu. Wysoka ranga, którą się jej przypisuje, nie ma jednak w sobie nic z nadzwyczajności. Ludzkość nie mogłaby „przeoczyć" walki o spełnianie celów ukazywanych przez rewolucję socjalistyczną. Wyrasta ona bowiem z podglebia historii, jest uświadomioną kontynuacją dziejowych procesów. Służąc wielkiemu i w pełni realnemu we współczesnych warunkach zadaniu uczłowieczenia stosunków międzyludzkich, wymaga okresu stopniowego dojrzewania. Nie może być traktowana jako krótkotrwały fajerwerk ludzkich nadziei.

Naszemu pokoleniu, żyjącemu na styku dwóch epok, przypadło w udziale twórcze przyśpieszanie tego okresu. Błąd popełniają ci wszyscy, którzy zniecierpliwieni jego trudnościami popadają w sceptycyzm. Przeszkody bowiem, jakie trzeba przełamywać, mierzyć można tylko wielkością zadań. Zwrócić tu trzeba uwagę nie tylko na trudności zewnętrzne, związane z koniecznością walki przeciw wrogim jej siłom, z koniecznością wielkiego wysiłku, wkładanego w budownictwo socjalistyczne. Zwrócić trzeba także uwagę na trudności tkwiące wewnątrz człowieka, związane z koniecznością przekształcania jego świadomości zachwaszczonej nawykami myślenia odziedziczonymi po kapitalizmie. Przejście do socjalizmu wymaga nie tylko koncentracji w rękach człowieka potężnych środków materialnych, służących potrzebom wszystkich; wymaga również rozszerzenia moralnych horyzontów jego człowieczeństwa.

Zapoczątkowane przed trzydziestu siedmiu laty rewolucyjne przeobrażenia z natury rzeczy zadają cios temu wszystkiemu, co w dotychczasowym dorobku ludzkości było tylko pozornie wartością trwałą. Pod ich naporem nie mogą się ostać idee, poglądy i instytucje, będące wyrazem przemijającego układu warunków historycznych. Wiatr rewolucji odwiewa plewę od ziarna: ułatwia widzenie spraw ludzkich w ich naturalnym, pozbawionym urojeń wymiarze. I choć na pozór może się wydać paradoksem — nam, katolikom, ułatwia również widzenie spraw boskich w pełnym blasku ich nadprzyrodzoności. Coraz lepiej potrafimy oddzielać uwarunkowane klasowo, historyczne akcesoria katolicyzmu od jego istoty. Staramy się w sposób coraz bardziej dojrzały ujmować naturę związków łączących prawdę religijną z prawdą historyczną, które, w naszym przekonaniu, dają dopiero pełnię prawdy o człowieku.

(Dokończenie na str. 2)

RYSZARD GOGOLA

CYPR — Cerber Suezu

JEDNYM z problemów włączonych do porządku dziennego bieżącej sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych jest sprawa niepodległości Cypru. Wielu ludzi skłonnych było przypuszczać, że w nawale spięć i powikłań międzynarodowych ostatnich lat zapomniano już o wielkiej sprawie małej wyspy położonej we wschodniej części basenu śródziemnomorskiego. Tymczasem nazwa Cypr zaczyna z powrotem pojawiać się na łamach prasy światowej. Zaczyna znowu zaprzątać głowy zachodnich polityków stając się przysłowiową kością niezgody między „przyjaciółmi".

Dotychczas obszary Bliskiego i Środkowego Wschodu uważane były za sferę wpływów brytyjskich. Ale od kilku lat jesteśmy świadkami coraz bardziej komplikującej się pozycji Anglii na tych terenach. Amerykański partner, motając kraje arabskie siecią tzw. pomocy w ramach czwartego punktu programu Trumana, wypiera swego brytyjskiego konkurenta zdobywając kluczowe pozycje eksploatacji Bliskiego i Środkowego Wschodu.

Nie jest więc rzeczą przypadku naftowa awantura z Mossadikiem w Iranie. Nie jest rzeczą przypadku osłabienie pozycji Wielkiej Brytanii w strefie Kanału Sueskiego skracającego odległość metropolii od jej posiadłości zamorskich o tysiące mil morskich. Decyzja wycofania wojsk brytyjskich ze strefy kanału parafowana dwustronnie 27 lipca br. w Kairze — to bez wątpienia cios w stos pacierzowy Imperium Brytyjskiego. Symboliczny rewolwer wręczony swego czasu przez Dullesa gen. Nagibowi zrobił swoje.

Teraz kolej na Cypr, brytyjski bastion we wschodniej części Morza Śródziemnego. Sprawa dla Wielkiej Brytanii nabiera niewątpliwie gorzkiego posmaku.

Anglia od zarania swojego Imperium przywiązywała wyjątkowo wielkie znaczenie ekonomiczne, polityczne i strategiczne do szlaków komunikacyjnych przechodzących przez Morze Śródziemne i Kanał Sueski. Toteż sprawę panowania nad nimi postawili Anglicy na czele swej „strategii" na Bliskim i Środkowym Wschodzie.

Tylko „szczęśliwemu" położeniu geograficznemu zawdzięcza Cypr dostąpienie zaszczytu włączenia go do morskiej osi „obrony" Wspólnoty Brytyjskiej w randze kolonii, co nastąpiło jeszcze w 1878 roku. Można z pewnością twierdzić, że nie piękno morskiego lazuru otaczającego wyspę było magnesem dla brytyjskiej mniejszości kolonizatorskiej. Nie zaspokojenie potrzeb estetycznych było przyczyną ich zasiedzenia na Cyprze. Potrzeby okazały się bardziej prozaiczne.

Przecież zaledwie 30 minut lotu wystarcza dla samolotu bojowego, który leci na północ od Port Said leżącego przy wejściu do Kanału Sueskiego, by znaleźć się nad Cyprem. Sprawy więc Cypru nie można traktować w oderwaniu od wypadków rozgrywających się na Bliskim i Środkowym Wschodzie, a zwłaszcza wokół Kanału Sueskiego. Zresztą sami Anglicy zawsze podkreślają znaczenie strategiczne Cypru dla zabezpieczenia żywotnych interesów Korony Brytyjskiej.

„Times" z czerwca 1950 roku nazwał Cypr „brytyjskim lotniskowcem strzegącym Kanału Sueskiego". Nie można nie przyznać racji „Times'owi" w trafności użytego porównania.

Niemniej jednak rząd Churchilla zdawał sobie sprawę, że w obecnej sytuacji nie można już działać przestarzałymi metodami. Skoro rząd brytyjski od dawna był już zdecydowany wycofać swe wojska ze strefy Kanału czekając tylko na odpowiedni układ sił politycznych w Egipcie, zachodzi pytanie: jak ustosunkuje się on do złożonego w ONZ wniosku greckiego domagającego się przyłączenia Cypru do Grecji?

Nie będzie chyba ryzykowne twierdzenie, że żądanie greckie napotka na zdecydowany opór ze strony Anglii, tym bardziej, że lipcowy układ kairski jest tylko zewnętrznym, prestiżowym ustępstwem Wielkiej Brytanii, która z pewnością użyje wszelkich możliwych środków „dyplomatycznych", aby nadal utrzymać Cypr jako wysunięty posterunek wojskowy we wschodniej części Morza Śródziemnego. Na to wskazuje już sam lipcowy układ anglo-egipski. Pozostawia on brytyjczykom chytrze uchyloną furtkę. Jeden z punktów układu przewiduje bowiem, że w wypadku „jakiejś agresji na Egipt, na państwa związane z Egiptem układami wojskowymi lub na Turcję" — wojska angielskie będą mogły automatycznie okupować na nowo Suez. A z Cypru do Suezu tylko skok. Minuty lotu dla samolotów i parę godzin rejsu dla floty.

Z drugiej strony — naprędce preparowanych paktów o charakterze militarnym nie można inaczej rozumieć jak w ten sposób, że mają one przyśpieszyć wyłamanie uchylonej już furty układów i zastąpienie nowymi formami niedoszłego „wspólnego" dowództwa Środkowego Wschodu. Nie należy więc oczekiwać łatwych sukcesów, ani poddania się bez walki Anglii w rozgrywce o Cypr, który stanowi wyborną bazę wypadową dla Królewskich Sił Zbrojnych.

Mimo to, ostatni wniosek grecki w sprawie Cypru należy uważać za pierwszy sygnał o zasięgu międzynarodowym, z którym Anglia musi się poważnie liczyć. Walka o Cypr przybiera na sile i wkracza w fazę decydującą.

Monarchiczny rząd grecki domagający się za pośrednictwem ONZ przyłączenia Cypru do Grecji czyni to przede wszystkim z pobudek propagandowych, a nie w poczuciu głębiej pojętej więzi narodowej.

Stanowisko rządu greckiego jest wynikiem sytuacji przymusowej. Jest wyrazem dążeń i woli ludności wyspiarskiej Cypru (w swej przytłaczającej większości są to Grecy, zarówno w mowie, uczuciach, jak i kulturze helleńskiej). Mieszkańcy Cypru powołując się na swoją historię, żądają zaspokojenia ich aspiracji narodowych i połączenia z narodem greckim, w oparciu zresztą o precedens Wysp Jońskich.

Głos ludności Grecji i Cypru wyrażający się w demonstracjach, strajkach i czynnym oporze, nie mógł już dłużej pozostać bez echa. Musiał znaleźć swój wyraz w oficjalnym stanowisku i wystąpieniu rządu greckiego.

Mieszkańcy Cypru wyzbyci złudzeń co do brytyjskiej okupacji traktowanej niegdyś naiwnie jako preludium do odzyskania wolności, walczą o swe prawa narodowe — mimo że walka z angielskim kolonializmem nie należy do łatwych.

Wszelkie próby odzyskania wolności w drodze bezpośrednich negocjacji nie dały mieszkańcom wyspy spodziewanego rezultatu. Rozczarowanie musiało być niewątpliwie wielkie. Dotychczasowych trudności polubownego rozwiązania tego zagadnienia szukać należy w świadomej, do najwyższego stopnia obłudnej i perfidnej polityce brytyjskiej. Zresztą Cypr, rządzony przez Whitehall za pośrednictwem brytyjskiego Wysokiego Komisarza, miał w tej sprawie najmniej do powiedzenia.

Wprawdzie ma on własną konstytucję, nadaną jeszcze w 1878 roku przez rząd Jego Królewskiej Mości, ale cóż z niej, skoro zapewnia ona ludności w zasadzie tylko prawo do mowy i kontrolowanego słowa drukowanego.

W dzisiejszym układzie sił politycznych na świecie ludność etnicznie grecka Cypru ma realne szanse ukoronowania swoich zabiegów o połączenie z Grecją.

Brytyjski system kolonialny ulega „korozji". U podstaw tego rozkładu tkwi specyficzne, angielskie lekceważenie narodów kolonialnych i zależnych, przesadne niedocenianie ich inteligencji, zdolności oporu, a nawet ich samozachowawczego instynktu.

Suma tych elementów pozwala na rozszyfrowanie pozornie skomplikowanego zagadnienia oraz tłumaczy oficjalne wystąpienie Grecji na forum ONZ. Spodziewany opór Wielkiej Brytanii absolutnie nie przesądza wyniku. Przykłady osiągnięć innych narodów uciskanych napawają nadzieją. Czy słuszną, pokaże najbliższa debata na sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych.

Ryszard Gogola

JANUSZ STEFANOWICZ

NIEPROSZONA OBECNOŚĆ

PRÉSENCE française" — to hasło brzmi niewinnie. Prawie tak niewinnie, jak „Arbeit macht frei" na bramach obozów koncentracyjnych. I prawie równie ponurą zawiera w sobie treść. Kilka dziesiątków lat obecności francuskiej w Tunisie i Maroku jest pasmem nędzy i cierpień tych narodów, a równocześnie pasmem wyzysku ze strony francuskich kolonizatorów. „Présence française" — obraz ciekawy i różnorodny. Mamy na nim zapadające się lepianki wsi arabskich z nieruchomymi szkieletami na progach. Porty z różnojęzyczną szumowiną złodziei, przestępców i prostytutek. Placówki armii, w której służy kwiat kryminalistów — Legii Cudzoziemskiej. Mamy wreszcie maurytańskie pałace miejscowych notabli i nowoczesne wille francuskich urzędników kolonialnych. A na tym tle — pacyfikacje, mordy i więzienia. Szyld? Krzewienie europejskiej cywilizacji wśród barbarzyńskich plemion. Jedyny zresztą, jaki można zastosować tam, gdzie zawodzą „historyczne prawa".

Historia bowiem jest bardzo, bardzo świeża.

JAK SIĘ ZACZĘŁO?

Prezydent Republiki Francuskiej w imieniu własnym i Jego Królewskiej Wysokości Beja Tunisu... Od siedemdziesięciu lat czytać można w aktach międzynarodowych te słowa teatralne w formie, ale w treści smutne.

W roku 1881 Francja podbiła wasalny dotychczas kraj Turcji — Tunis — i narzuciła bejowi tzw. traktat w Bredo, który oddawał jej całkowicie rządy w dziedzinie spraw zagranicznych, finansów, administracji i sądownictwa. Bej stał się władcą fikcyjnym, bezpiecznym ze względu na opiekuńcze skrzydła francuskiego ministra-rezydenta, a wygodnym — no, jak każda fikcja. Identycznie załatwiono sprawę w dwadzieścia jeden lat później z sułtanem Maroka, dyktując mu traktat w Fezie.

Od tej pory Francja siedziała tam mocno dzięki specjalnej polityce. Z jednej strony utrzymywała silne oddziały Legii i wojsk afrykańskich, ale nie tubylczych, z drugiej — przekupywała i zjednywała sobie miejscową arystokrację i małych szeików plemion berberyjskich podżegając czasem tych ostatnich do walk między sobą. Raz tylko nastąpił szeroki i bohaterski zryw Arabów pod wodzą słynnego Abd el Krima, który po długich i bardzo ciężkich dla Francuzów walkach zakończył się jednak klęską. Potem nie notowano już większych buntów, a nacjonalistyczne partie arabskie — Destur i Neo-Destur w Tunisie i Istiqlal w Maroku — których działalność była zresztą na poły nielegalna, a przywódcy często w więzieniach — porzuciły myśl o oporze zbrojnym. Okupacja francuska szła więc do ostatnich czasów zupełnie gładko. Były to jednak pozory. Od zakończenia II wojny światowej w Tunisie i Maroku zaczęły przybierać na sile partie komunistyczne, a zwycięstwa ludów kolonialnych czy półkolonialnych w Azji oraz wzrost siły obozu socjalistycznego pobudzały Arabów do walki. Jak słusznie podkreśla londyński „Times" z 3 sierpnia br. *po zakończeniu wojny w Indochinach p. Mendès-France mógł dosłownie za pięć dwunasta zapobiec wybuchowi podobnej wojny w Tunisie. Wszystko wskazywało na to, że w protektoracie przygotowuje się długa walka.* Podobnie w Maroku: po detronizacji sułtana Sidi Mohameda V i zastąpieniu go zupełnie zależnym od Francji Ben Arafą, wrzenie dochodziło do zenitu.

WARTOŚĆ REFORM

Mendès-France stanął więc wobec konieczności dokonania gestu, uśmierzającego gniew ludności. Czy jednak poczynił zasadnicze ustępstwa? Dość szczerze pisze o tym francuski Le Monde: *Dla wyjścia z impasu niezbędny był szok psychologiczny. Podróż Mendès-France'a do Tunisu wypływa z tej właśnie konieczności... Reformy, przedstawione bejowi, nie wychodzą z ram określonych prawdziwymi interesami Francji... Wyznaczenie gen. de la Tour na stanowisko, opuszczone przez Voizarda winno dowieść, że nie poświęca się niczego, jeżeli chodzi o bezpieczeństwo Francuzów... Nowa polityka Francji zmierzać będzie do trwałego zagwarantowania obecności Francji w Afryce Północnej.*

Jeśli podstawimy właściwą treść pod słowa *interesy Francji* i *bezpieczeństwo Francuzów*, jeśli przypomnimy fakt, że równocześnie z pokojową i przyjazną wizytą Mendès-France'a popłynęły zwiększone posiłki wojsk do portów tunetańskich — zrozumiemy istotny sens polityki Francji — polityki ludzi, którzy się boją o swoją własność, ale równocześnie nie chcą jej za nic oddać, polityki zamydlania oczu i drobnych ustępstw, które mają odwlec — choć trochę, ile się da — wybuch ruchu wyzwoleńczego ludów arabskich w Tunisie i Maroku. Spójrzmy zresztą na mgliste sformułowanie obietnic. Władza francuskiego rezydenta w Tunisie pozostaje nieuszczuplona. Nowe stosunki w wyniku długich niewątpliwie rokowań zostaną uregulowane przez konwencje zawarte z nowym rządem. Rokowania będą szły równocześnie z transportami wojsk. Będą prowadzone bez uchylenia stanu wojennego, bez amnestii, przy przepełnionych działaczami niepodległościowymi więzieniach. A z kim? Elementy nacjonalistyczne, z których stworzony został nowy rząd, rekrutują się, według angielskiego „Economist", z trzech sfer — z feudałów - arystokratów, z drobnych posiadaczy ziemskich i miejskiej inteligencji. Przywódca największej partii nacjonalistycznej Habib Burgiba wzywa do zaprzestania akcji zbrojnej. W partii przeważają elementy „umiarkowane". I tu mamy wyraźny przykład, jak „narodowa" i szermująca nacjonalistycznymi hasłami burżuazja i inne klasy posiadające, dzięki swej klasowej przynależności stają w połowie drogi, zdobywszy warunki bytu dla siebie, nie chcą — bo nie widzą tu interesu osobistego — walczyć o pełne wyzwolenie narodowe. Wolą sprzymierzyć się z burżuazją metropolii, wolą żyć w iluzorycznej półsuwerenności, niż w niepodległym państwie narażać się na polityczne współżycie z klasami proletariackimi.

Ustępstwa w Maroku są jeszcze mniej konkretne. Mendès-France powiedział mgliście, że *należy wciągać naród marokański stopniowo, lecz możliwie szybko do zajęcia się własnymi sprawami w ramach suwerenności marokańskiej*, ale równocześnie podkreślił z naciskiem, że Francja nie pozwoli na usunięcie jej marionetkowego sułtana Ben Arafy i tylko z nim prowadzić będzie rokowania. Pozory wskazywałyby więc, że Francja czuje się mocniej w Maroku niż w Tunisie, bowiem poczyniła tu mniejsze ustępstwa. Tak jednak nie jest. Maroko stanowi szczególnie niepewny obszar. Z zewnątrz Francuzi zagrożeni są przez Stany Zjednoczone, które od II wojny prowadzą tam interwencję gospodarczą na dużą skalę. Głośna była sprawa praw obywateli amerykańskich w Maroku, która znalazła się przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości dwa lata temu. Trybunał orzekł wtedy na korzyść Amerykanów — ustalił zasadę „otwartych drzwi", nie uznając żadnych przywilejów dla obywateli francuskich w dziedzinie ekonomicznej. Dalej, Stany Zjednoczone wygrywają przeciw Francji reżim Franco; ponieważ sułtanat rozciągał się formalnie na obie części Maroka: francuską i hiszpańską, walka dynastyczna o przywrócenie tronu Sidi Mohamedowi V podsycana jest przez uznających go nadal Hiszpanów, którzy chcą w ten sposób osłabić wpływy i władzę francuską. Sytuacja wewnętrzna jest dla Francji również niepomyślna.

Gospodarka marokańska stale się pogarsza. Produkcja zbóż wykazuje poważny spadek. Przemysł przeżywa stagnację, a duża liczba przedsiębiorstw marokańskich nie wytrzymuje konkurencji międzynarodowej powstałej na skutek wspomnianej polityki „otwartych drzwi". Nie ma zupełnie środków na inwestycje przemysłowe.

W tej sytuacji nabierają specjalnego znaczenia fakty demograficzne — bardzo wysoki przyrost ludności (ponad 100 tysięcy rocznie) i wysoka koncentracja ludności w miastach. Wszystko to powoduje szybki wzrost proletariatu i dalej — jako logiczną tego konsekwencję — wzrost siły partii komunistycznej. Partia ta ma sojusznika we wpływowej partii nacjonalistycznej Istiqlal, która idzie w swoim programie o wiele dalej niż Neo Destur w Tunisie — żąda bowiem zniesienia traktatu o protektoracie, niepodległości oraz zjednoczenia Maroka. Wszystko wskazuje na to, że właśnie narodowi marokańskiemu przypadnie w udziale przywództwo w walce o wolność ludów arabskich, że naród ten — wespół z sąsiednim narodem tunetańskim — położy kres nieproszonej, szkodliwej i przeżytej „présence française" w protektoratach Afryki Północnej.

Janusz Stefanowicz

MICHAŁ JAWOR

TRADYCJE Discontogesellschaft

WĘŻOWE plemię hakatystów rozmnożyło się swoiście od czasów Hansemanna, Kennemanna i Tiedemanna. W Niemczech wilhelmowskich istniała jedna, powszechnie znana organizacja; jej stosunki z wielką macierzą wszelakiego szowinizmu — Związkiem Wszechniemieckim — były publiczną tajemnicą i cały schemat organizacyjny ultranacjonalizmu niemieckiego z tych czasów, opracowany niedawno przez prof. Juergena Kuczyńskiego, znany był już współcześnie każdemu, kto choć trochę chciał się nim zainteresować. Było także publiczną tajemnicą, kto — oprócz banku Discontogesellschaft — daje pieniądze na całą tę akcję propagandową.

Dla dzisiejszego hakatyzmu przyjęła się powszechnie nazwa „rewizjonizmu". Nazwa trafna — jak i za trafne do pewnego stopnia uważamy postawienie znaku równości między dawnym hakatyzmem a dzisiejszym rewizjonizmem niemieckim.

Rewizjonizm jest oczywiście pojęciem szerszym — i jest spadkobiercą całego kompleksu dążeń uosabianych swego czasu przez Związek Wszechniemiecki, a później przez jego dziedzica i wykonawcę testamentu — Hitlera.

Wszelako podkreślić trzeba, że dzisiejszy rewizjonizm niemiecki ma tak wyraźne i zdecydowane oblicze antypolskie, iż można by to określić, jako opanowanie całego Związku Wszechniemieckiego przez hakatę. Wysiłki rewizjonistycznych organizacji skierowane są przede wszystkim przeciwko narodowi polskiemu i jego granicy na Odrze i Nysie.

Pojęcie „rewizjonizmu" rozumieć należy szeroko: oznacza ono mianowicie dążność do zrewidowania istniejącego stanu rzeczy i stanu pojęć w różnych dziedzinach na korzyść imperializmu niemieckiego i tych sił społeczno-ekonomicznych, które go tworzą.

Rewizjonizm dąży do rewizji granic ustalonych w Poczdamie w sierpniu 1945; do rewizji zarówno wyroków wydanych na zbrodniarzy hitlerowskich, jak i samego ugruntowanego w świecie od 1945 i od procesów norymberskich pojęcia o hitlerowskiej zbrodni; do rewizji pojęć o odpowiedzialności imperializmu niemieckiego za wybuch obu wojen światowych. Wreszcie — nawet i do rewizji ustalonych pojęć o charakterze i roli dziejowej Prus. Są to w zasadzie dążenia wybiegające poza ramy konfliktu niemiecko-polskiego, a raczej — konfliktu między dążeniami imperializmu niemieckiego i interesami narodu polskiego; nie trudno wszelako dostrzec, że główne punkty tego quasi-programu kierują się właśnie przeciw Polsce. Zagadnienie zaś granicy uczynił imperialistyczny rewizjonizm niemiecki sprawą niejako sztandarową i symboliczną, opierając się w tej mierze na pewnej części intensywnie agitowanych przesiedleńców ze wschodniej Europy (Ost-Mitteleuropa — to termin, który robi karierę w pewnego pokroju „nauce" i publicystyce zachodnio-niemieckiej).

Duch hakaty jest przeto wszechobecny w całej działalności rewizjonizmu w dzisiejszych Niemczech zachodnich.

Działalność ta reprezentowana jest dzisiaj przez wiele organizacji, zespołów, zrzeszeń, instytutów i instytucji pomocniczych przeróżnego rodzaju.

O ile przy przeliczaniu wszystkich tych ośrodków narzuca się nam nieodparcie pytanie, kto daje pieniądze na ich niezwykle kosztowną działalność, na wszystkie te akcje publikacyjne, dokumentacyjne, propagandowe i masowe w rodzaju wielkich zjazdów przesiedleńców (sama komunikacja kosztować musi setki tysięcy marek) — to odpowiedź nie jest tak prosta, jak przy starej hakacie, gdzie już owe trzy symboliczne litery: HKT wyjaśniały sprawę (patrz artykuł pt. „Cyfry i numery" z dnia 26.IX br.).

Jeżeli chcemy odnaleźć nić przewodnią w organizacyjnym gąszczu dzisiejszego rewizjonizmu wschodnio-niemieckiego, musimy sięgnąć po właściwą metodę.

Nić tę dość łatwo odkryć, ponieważ wiemy, czego szukamy. Nie może dla nas ulegać wątpliwości, że, jak w przypadku starej hakaty, tak i dzisiaj cała ta działalność odbywa się w interesie sfer kapitalistycznych. Jak i przed pół wiekiem, czują się one zagrożone przez własne klasy pracujące i odczuwają wzmożoną potrzebę kierowania na zewnątrz ich niezadowolenia, potrzebę dywersji nacjonalistycznej. Ponadto nie potrzeba bliżej uzasadniać, że warstwa posiadaczy niemieckich z Ziem Odzyskanych — podobnie zresztą, jak i byli posiadacze z terytorium dzisiejszej NRD — tęskni do swoich majątków, kopalń i fabryk. Jeżeli w prezydium jednego z owych ośrodków „naukowo"-rewizjonistycznych — których liczba przekracza pół setki — spotykamy hrabiego Krafta Henckel von Donnersmarcka to nie mamy wątpliwości, że nie sama tkliwa tęsknota za „śląskimi stronami rodzinnymi" zagnała owego przedstawiciela rodu byłych śląskich miliarderów do działalności rewizjonistycznej.

Z góry przeto przyjąć możemy, że ciężar finansowania całej olbrzymiej akcji rewizjonizmu w Niemczech zachodnich wziął na siebie wielki kapitał niemiecki — bądź bezpośrednio, bądź przez swój organ wykonawczy, jakim jest rząd Adenauera. Obie formy finansowania mają przy tym swoje wady i zalety. Subwencje państwowe dla ośrodków rewizjonistycznych są wprawdzie łatwiejsze do ujawnienia, ale za to mają tę niewątpliwą dobrą stronę, że nic nie kosztują kapitalistów; za ogłupianie bowiem społeczeństwa niemieckiego i „psychologiczne przygotowywanie" go do nowej wojny i nowych ofiar płaci się tu z własnej kieszeni tego społeczeństwa, z kieszeni podatnika.

Poszczególne organizacje i ośrodki otrzymują niemałe zasiłki od „ministerstwa wygnanych", tj. ministerstwa spraw ludności przesiedlonej, oraz od „ministerstwa spraw ogólnoniemieckich", czyli urzędu zajmującego się głównie dywersją i sabotażem w NRD; hojną rękę ma również ministerstwo spraw zagranicznych obsadzone dzisiaj, jak wiadomo, większą liczbą hitlerowców niż... za czasów Hitlera. Ale oprócz tego jeszcze i „ministerstwo wyżywienia, rolnictwa i lasów" finansuje własną placówkę badawczą dla spraw rolnych wschodniej Europy. Ponadto oba ministerstwa gospodarcze („ministerstwo gospodarki" i „ministerstwo spraw planu Marshalla") finansują poszczególne poczynania badawczo-szpiegowsko-propagandowe.

Czasy hakaty były okresem dużej niezależności imperializmu niemieckiego od wszelkich ośrodków obcych; o jego poczynaniach decydował niemal wyłącznie kapitał rodzimy. Dzisiaj również i pod tym względem wiele się zmieniło. Kapitał niemiecki i jego boński rząd pozostają w daleko posuniętej zależności od obcych wpływów, zwłaszcza amerykańskich. Nie ulega też wątpliwości — ujawniono już pierwsze liczby z tego zakresu — że i kapitał amerykański bierze udział w finansowaniu awantury rewizjonistycznej w nauce, propagandzie i na wszelkich innych ścieżkach, którymi kroczą rewizjonistyczne dążenia.

Mimo wszelkich różnic schemat zasadniczy jest niewątpliwie ten sam, co przed pół wiekiem: wielki kapitał finansuje szeroko zakrojoną akcję publikacyjno-propagandową i „badawczą" — podkreślić należy niezmiernie poważny udział poczynań „naukowo-badawczych" w całokształcie działalności rewizjonistycznej — ażeby otumanić własne społeczeństwo, odwrócić jego uwagę od krzywd doznawanych w ojczyźnie ku rzekomym krzywdom i niebezpieczeństwom z zewnątrz; ażeby przygotować atmosferę do nowej, zaborczej wojny; po części wreszcie także, aby na drodze owych „badań naukowych" zdobyć jak najwięcej materiału informacyjnego, przydatnego zarówno w fazie przygotowywania wojny, jak i przy eksploatacji i przyszłych zaborów...

Nad obfitością owych zasiłków i subwencji unoszą się, jak stado sępów, rozmaici „naukowcy" nieszczególnego pokroju, którzy nie w pierwszym już pokoleniu żyją z wysługiwania się celom imperialistycznego kapitału i ze sprzedawania swojej naukowej powagi. Ma ona firmować bardzo nienaukowe poczynania i publikacje... Książki, broszury i czasopisma sypią się, jak z rogu obfitości; jad tryska na wszystkie strony. Szczególnie niebezpieczną formą działania nowej hakaty jest jej oddziaływanie na młodzież; wpływ ośrodków rewizjonistycznych na szkoły, na podręczniki i programy szkolne rośnie zastraszająco.

Pieniądze, wydane na dawną hakatę przez jej finansowych patronów, zostały w znacznej mierze zmarnowane; „marchie wschodnie", których bronić miała hakata, wróciły do prawnych polskich posiadaczy, znalazły się w granicach państwa polskiego. Winno to być przestrogą dla tych, którzy finansują dziś nową hakatę.

Ale ta ożywiona, intensywna działalność jest przestrogą i dla nas: nie wolno nam nie wiedzieć o niej i nie wolno jej nie przeciwdziałać, jeżeli wszystkie wysiłki imperialistycznego kapitału i opłacanych przezeń „uczonych" oraz innych pismaków mają się okazać daremne.

Michał Jawor

Czas potoczył się naprzód

(Dokończenie ze str. 1)

„Dla chrześcijanina silna to pokusa — powiedział kiedyś Emanuel Mounier — usiąść sobie wygodnie i z rozczuleniem przypatrywać się pięknym krajobrazom teologii, podczas gdy karawana ludzka posuwa się naprzód przez ogień". Katolikom kontentującym się biernym, a jakże często machinalnym „konsumowaniem" zasad swego światopoglądu, bez dostrzegania ich konsekwencji praktycznych, w oderwaniu od spraw nurtujących całą ludzkość — grozi zawsze niebezpieczeństwo zniekształcenia własnej postawy ideowej. Dynamika rewolucji obnażyła to niebezpieczeństwo. Potwierdzając historyczną konieczność socjalizmu i zawierając w sobie ładunek moralny, bliski chrześcijaństwu, kieruje myśli, wolę i uczucia stale wzrastającej części jego wyznawców do nadrabiania popełnionych w przeszłości pomyłek.

Pierwszym akordem rewolucji były salwy wystrzałów na ulicach Petersburga i Moskwy. Towarzyszyły jej później, poprzez kilka lat wojny domowej, łuny pożarów, rozlew krwi, głód... Wielu „dobrze myślącym", ale nieświadomym wewnętrznej dialektyki przemian dziejowych, mogło istotnie zdawać się, że „czas potoczył się wstecz, w minione wieki". Oddajmy sprawiedliwość cieniom poległych bojowników Października, nie umniejszajmy ceny cierpienia, które stało się udziałem ludu rosyjskiego w bezlitosnej walce o socjalistyczną przyszłość świata. W rzeczywistości od tej pory czas potoczył się naprzód siedmiomilowymi krokami. Rewolucja Październikowa przedarła martwiejącą powłokę starego ustroju, stworzyła wielką perspektywę budowy nowego życia, wyzwalającego i uwielokrotniającego z roku na rok twórcze możliwości człowieka.

Wczuwajmy się w jej tętno, przyśpieszajmy bieg czasu...

Wojciech Wieczorek

Z OBRAD KONGRESU GRUPY „LA QUINZAINE"

ANDRZEJ KRASIŃSKI

Katolicy po stronie klasy robotniczej

PISMO „La Quinzaine" i środowisko działaczy katolickich, które skupia się wokół niego — są znane czytelnikom „Dziś i Jutro". Wiemy, że z różnorodnych tendencji społecznie postępowych wśród katolików na Zachodzie linia reprezentowana przez to środowisko jest nam najbliższa i najbardziej konsekwentnie postępowa.

Działalność jego rozwija się w ramach całkowicie odmiennej struktury życia zbiorowego. Mimo to między grupą „La Quinzaine" a środowiskiem PAX istnieje uderzająca zbieżność nie tylko w stawianiu problemów, ale także w przyjęciu tych samych ogólnych wytycznych oraz celów działalności politycznej i społecznej.

Ową spontanicznie powstałą jednomyślność w sprawach największej wagi dokumentuje raz jeszcze odbyty w lecie bieżącego roku III Kongres „La Quinzaine", który zgromadził z górą 300 najaktywniejszych współpracowników tego pisma i jego sympatyków jeśli chodzi o pracę społeczną. Zamieszczone obok fragmenty referatu H. Hermand i podsumowanie obrad dokonane przez redaktora naczelnego dają ogólny obraz tematyki i atmosfery zjazdu. Tu, w krótkich słowach postaramy się do tych tekstów oryginalnych dołączyć komentarz ułatwiający umieszczenie ich w kontekście aktualnej sytuacji Francji.

III Kongres zamyka okres czasu dla tego pisma szczególnie trudny, ale równocześnie świadczący o dojrzałości i bezkompromisowości tej grupy — okres, z którego wyszła ona zwycięsko.

Rok bieżący rozpoczął się we Francji jak wiemy, pod znakiem (już uprzednio przygotowanej) wielkiej kampanii przeciwko nurtowi postępowemu w katolicyzmie francuskim. Atak, w którym pierwsze skrzypce grały żywioły faszyzujące obciążone kolaboracją w czasie ostatniej wojny, dotyczył głównie księży robotników, było jednakże wiadome, że w istocie wymierzony jest we wszystko, co w katolicyzmie we Francji jest społecznie postępowe.

W wyniku ostrej kampanii prasowej z większą niż dotychczas wyrazistością w katolickiej opinii francuskiej zaznaczył się rozłam na nurt postępowy i zachowawczy. W pierwszej fazie walki atakująca tendencja prawicowa wyraźnie brała górę. Zarządzenia władzy kościelnej w stosunku do księży robotników i dominikanów francuskich wydawały się świadczyć niezbicie, że owa tendencja cieszy się poparciem pewnych kół politycznych Kurii Rzymskiej, a także, choć nie bez wahań, i Hierarchii Kościoła we Francji. Sytuacja katolików postępowych stała się więc tragiczna. Dotyczyło to przede wszystkim samych księży robotników, którym odmówiono prawa do solidarności z klasą robotniczą — ale obok nich ta sama rozterka ogarnęła liczne rzesze duchownych i świeckich katolików Francji. Czyżby być katolikiem znaczyło być po stronie świata rządzącego się egoizmem i wyzyskiem? Nad „La Quinzaine", która w poczuciu moralnej słuszności nie mogła ustąpić z zajętego po stronie klasy robotniczej stanowiska, zawisła groźba i już spadł na nią pierwszy cios. Ale choć znajdująca się na najbardziej wysuniętych, narażonych pozycjach — „La Quinzaine", w tej walce nie była osamotniona. Właściwie wszystko, co w katolicyzmie francuskim było wartościowe i młode zaangażowało się w obronie księży robotników, ściślej mówiąc w walce o prawo katolika do postępowości. Sprawa bowiem tych księży była fragmentem tego istotnego, ogólnego problemu.

Okres, o którym mowa, był — jak powiedzieliśmy — dla zespołu „La Quinzaine" egzaminem wielkiej dojrzałości i charakteru. Przez cały czas kryzysu niewzruszenie zachował on uległość wobec władzy kościelnej, równocześnie podkreślając z naciskiem i mocą swoje zaangażowanie po stronie walki klasy robotniczej.

Wyrazem tej właśnie postawy był zarówno referat sprawozdawczy J. Chatagnera jak referat I. Verlhaca o odpowiedzialności świeckich w Kościele. Jeśli nie cytujemy ich tu, to dlatego, że powstaje niewątpliwie nowa sytuacja. Wystarczy jeśli powiemy, że są one świadectwem głęboko przemyślanego rozgraniczenia płaszczyzny religijnej i politycznej, rozgraniczenia, które nie prowadzi do zerwania wzajemnych związków między tymi dziedzinami, ale do koniecznego usamodzielnienia i emancypacji zagadnień politycznych, gdzie na wybór dróg i metod działania wpływa poznanie rzeczywistości społecznej a nie aprioryczne oderwane sądy.

Rzecz jasna, nie tylko pod kątem widzenia problematyki wyznaniowej, ale także sytuacji politycznej, we Francji kształtuje się ogólna linia „La Quinzaine".

Permanentny, od 6-ciu zgórą lat, kryzys w polityce wewnętrznej Francji wykazał dobitnie bezsiłę wszystkich kolejnych gabinetów burżuazyjnych, które usiłowały rządzić tym krajem wbrew interesom i aspiracjom mas pracujących.

Jeśli jednak ten stan rzeczy tak długo mógł się utrzymać — należy to przypisać nie tylko amerykańskiej presji zewnętrznej redukującej dotkliwie suwerenność narodową. Ściślej mówiąc, przypisać to należy brakowi partii politycznej prawdziwie lewicowej zdolnej do owocnej współpracy z partią komunistyczną. Dlatego to mówi się dziś we Francji wszędzie o zagadnieniu „przegrupowania lewicy", dlatego też omawiany kongres szczególnie wiele miejsca poświęcił tej sprawie.

Problem jednak jest niezwykle złożony i trudny. Bardzo łatwo bowiem nowe ugrupowanie może stać się czynnikiem rozbijającym jedność narodu.

Dyskusja dostarczyła wiele materiału ilustrującego dotychczasowe osiągnięcia w tworzeniu się w różnych zakątkach kraju „nowej lewicy". Podniesiono również przykłady będące ostrzeżeniem przeciwko właśnie tego rodzaju inicjatywom, które nie dają gwarancji, że ta „nowa lewica", tak, jak to niejednokrotnie już miało miejsce, nie ześliźnie się stopniowo na prawo, i będzie czynnikiem nie odrodzenia ale tego samego rozkładu, który trawi życie polityczne Francji.

Na Kongresie, o którym mówimy, znaleźli się również ludzie dotychczas nie związani z grupą „La Quinzaine". Na podkreślenie zasługuje zwłaszcza obecność deputowanego A. Denis i senatora L. Hamou wykluczonych w tym roku z MRP. Wokół tych osobistości w klubie „La Jeune Republique" skupia się wiele osób i grup wchodzących przede wszystkim w grę jeśli idzie o przegrupowanie lewicy.

Dyskusja, w której padły głosy wymienionych polityków, wykazała, że daleka jeszcze jest droga do uzgodnienia stanowisk. Nie wszyscy widzą jasno niebezpieczeństwa, jakie grożą nowej formacji politycznej.

Istotnym kryterium słuszności i przydatności, prawdziwym kryterium postępowości każdej akcji politycznej jest jej stosunek do klasy roboniczej i reprezentującej ją partii.

Grupa „La Quinzaine" posiada głęboką świadomość tej prawdy. Podkreśla to autorytatywnie redaktor naczelny stwierdzając w podsumowaniu obrad, że „La Quinzaine" jest gotowa przyłączyć się do każdej inicjatywy politycznej utrwalającej jedność proletariatu Francji, a równocześnie będzie zwalczać wszystko, co w tę wielką jedność może godzić. Jesteśmy pewni, że grupa, o której mowa, nie tylko sama potrafi zachować tę linię, ale w momencie zmian i wahań — i innym potrafi ułatwić obranie słusznej drogi.

Andrzej Krasiński

HENRI HERMAND

PROGRESIŚCI WE FRANCJI

Jeżeli będziemy usiłowali sprecyzować definicję progresizmu, znajdziemy się w kłopocie, nie ma bowiem doktryny progresizmu. Nie ma nawet progresizmu — są tylko progresiści. A i tych ludzi noszących etykietę progresizmu nie ma wielu. Dawna „Union des Chrétiens Progressistes" już nie istnieje. Istnieje niewielka organizacja polityczna nosząca miano „Union Progressiste", jednakże wszyscy członkowie tego ugrupowania twierdzą, że daleko jej do zjednoczenia wszystkich ruchów progresistowskich, obejmuje on tylko maleńką ich cząstkę.

Progresizm można by określić jako stanowisko polityczne, które wyłoniło się z Ruchu Oporu. Poczynając od roku 1948, od czasu, gdy Francja zaangażowała się w sojuszu atlantyckim, nastąpił rozłam w lewicy francuskiej i odepchnięcie partii komunistycznej jako oponenta. Miało to inną jeszcze konsekwencję, a mianowicie odepchnięcie całej klasy robotniczej, która nie tylko nie miała już żadnego udziału we władzy, lecz nawet stała się ofiarą polityki prowadzonej od owej chwili, dlatego, że partia komunistyczna posiada zaufanie klasy robotniczej. Od tej pory wielkie organizacje polityczne (wszystkie od SFIO aż po prawicę) poza partią komunistyczną, przyjęły sojusz amerykański, a pewna liczba intelektualistów i pojedynczych jednostek znalazła się w trudnej sytuacji. Odmawiając zerwania, pozostali oni u boku klasy robotniczej i przez kilka lat tworzyli małe grupki, małe prądy opozycyjne obok partii komunistycznej. Ich stanowisko polityczne było trudne do określenia.

Wielu z nich marzyło o utworzeniu trzeciego obozu, ale jednocześnie nie umieli oni nadać mu rzeczywistych form politycznych. Co mówili wówczas progresiści? Mówili, że nie można prowadzić we Francji lewicowej polityki bez poparcia klasy robotniczej, nie można prowadzić we Francji polityki lewicowej bez udziału, albo przynajmniej poparcia partii komunistycznej, najlepszego przedstawiciela klasy robotniczej. Niewątpliwie musiało to być przedsięwzięcie długofalowe, gdyż trzeba było przebyć pewną ilość etapów. My przez wiele lat pozostawaliśmy w całkowitej opozycji, nie widząc żadnego rozwiązania zastępczego, ani nawet możliwości dojścia do jakichś pozytywnych wniosków. W tej walce opozycyjnej straciliśmy wielu bojowników. Łatwiej mogli ją przetrwać członkowie wielkich partii, jak np. partii komunistycznej, posiadającej długofalowe perspektywy, międzynarodowe oparcie polityczne w skali światowej, aniżeli ludzie odosobnieni, bez partii udzielającej im poparcia, bez doktryny, ludzie, którzy postawili tylko wstępne problemy, dokonali wstępnego wyboru, lecz nie mogli powiedzieć, kiedy uda im się osiągnąć jakieś wyniki. Wydaje mi się, że ówczesna sytuacja progresistów przypominała sytuację ludzi, którzy w 1941 roku zdecydowali się na Ruch Oporu, lecz nie wiedzieli jaką formę przybierze on w roku 1944; którzy byli pogrążeni w mroku, a na duchu podtrzymywało ich jedynie poczucie obowiązku i wierności. Sądzę, że tak samo było z progresistami i że szczęśliwie okres ten przeminął.

Wydaje mi się, że postawa polityczna progresistów była dyktowana pewną koncepcją historii, nie była zaś tylko postawą taktyczną, jak np. u niektórych radykałów godzących się na Front Ludowy w 1936 r. Progresiści, którzy wybrali to stanowisko polityczne, byli posłuszni dwom nakazom:

1) Przyjęcia tezy, że rola klasy robotniczej będzie decydująca w przyszłych walkach politycznych;

2) Uznania komunizmu za coś więcej niż złudną budowlę, niż przypadek historyczny: pewna ilość ludzi uparcie nie chce wierzyć, że komunizm odpowiada aspiracjom innych.

Jeżeli o nas chodzi — nie jesteśmy bynajmniej zdania, że chodzi o przypadkowe zjawisko historyczne.

Zarzucają nam często, że nie jesteśmy bezstronni. Niektórzy myślą, że neutralność polega na całkowitym zachowywaniu równowagi i mówią nam, że nie jesteśmy obiektywni, przywiązując w naszych sprawozdaniach więcej wagi do tego, co się dzieje w demokracjach ludowych, i że jesteśmy o wiele bardziej wyrozumiali wówczas niż gdy zdajemy sobie sprawę z przebiegu wypadków w krajach kapitalistycznych.

Nie pamiętają, że to, co dzieje się w krajach skandynawskich — a nawet w Anglii — nie jest nam obojętne, bo i tam także zachodzą pozytywne doświadczenia.

Niewątpliwie, jeżeli zdajemy sprawę z wrażeń po podróży do krajów demokracji ludowej w takim czasopiśmie jak „La Quinzaine", gdy mówimy o doświadczeniach w krajach demokracji ludowej — na ogół robimy to z dużą sympatią. Podkreślam tu słowo „sympatia" i chciałbym wyjaśnić dlaczego tak jest.

W tych właśnie krajach urzeczywistnia się istotny pochód historii. Stamtąd możemy czerpać najbogatsze doświadczenia, w tamtą stronę musimy spoglądać z największą sympatią i zrozumieniem. Nie ma wspólnej miary dla problemów, które tam powstają, między doświadczeniami, które tam usiłują robić między tym, co tam jest zrealizowane, a tym, co może być realizowane w ramach ustroju kapitalistycznego. Kładę duży nacisk, gdyż wydaje mi się to zasadnicze.

Powiedziałem przed chwilą, że w 1954 roku łatwiej jest być progresistą aniżeli w roku 1948, ponieważ ważne wydarzenia nie zmieniły sytuacji.

Przede wszystkim nastąpiło odprężenie międzynarodowe dzięki stanowisku dyplomatycznemu Rosji.

W płaszczyźnie spraw wewnętrznych we Francji wiele się zmieniło.

Wszystkie te wydarzenia następowały po sobie kolejno i stało się to, co niemal dokładnie przewidywaliśmy i stało się w przewidywanych przez nas terminach. Wydarzenia indochińskie, sprawa EWO, stagnacja ekonomiczna, niemożność rozwiązania zagadnień socjalnych — wszystko następowało jedno po drugim. Stało się niewątpliwe: nie było we Francji trzeciej siły, nie było trzech dróg, po których mogłaby pójść nasza polityka i sądzę, że to jasne stwierdzenie przez dłuższy czas odróżniało nas od ludzi mających to samo zdanie w pewnych ściśle określonych punktach — (przeciwstawianie się wojnie w Indochinach, przeciwstawianie się EWO) — lecz którzy nadal sądzili, że muszą okazywać wrogość w stosunku do partii komunistycznej, że można by stworzyć nową politykę francuską poza partią komunistyczną.

Mit trzeciej siły upadł i nikt teraz, nawet ludzie zajmujący stanowisko centrowo-lewicowe, nie wierzy już w możliwość jej powstania.

Z drugiej strony wszystkie małe ugrupowania dawniejsze, np. Union Progressiste, zrozumiały, że nie można pozostawać w odosobnieniu, że nie można już prowadzić polityki małych ugrupowań. Szereg spraw dzielących te małe ugrupowania przestało istnieć, a zwłaszcza ów mit trzeciej siły będący przez długi czas przeszkodą w ich zjednoczeniu. Po zniknięciu tego mitu można sądzić, że pójdziemy w innym kierunku, że mnóstwo ludzi — przez długie lata rozdzielonych — gotowych jest do współpracy. Zjednoczenie lewicy robi poważne postępy i stanie się nieuniknione. Nie będzie już przedmiotem intelektualnej dyskusji doktrynalnej, lecz przedmiotem działalności politycznej, pozytywnej i konkretnej w najbliższych miesiącach.

W polityce francuskiej nastąpił punkt zwrotny.

Bardzo szybko — jeżeli będziemy chcieli pójść naprzód — trzeba będzie zrealizować następne etapy po uzyskaniu zawieszenia broni w Indochinach, jak na przykład pewne ułożenie stosunków w Afryce Północnej (nie mam przesadnych złudzeń w tym względzie). Nie można będzie tego dokonać przy obecnej większości parlamentarnej. Następnie powstanie zagadnienie zjednoczenia ugrupowań lewicowych (nie użyłem słowa Front Ludowy, ponieważ nie chcę wywoływać dawnych wspomnień). Powiedzmy sobie, że od czasu uzyskania przez Mendès-France'a inwestytury, przegrupowanie lewicy nabiera szczególnego znaczenia i doniosłości.

Największy zarzut, jaki można postawić progresistom to ten, że obok partii komunistycznej nie stanowią ugrupowania dość silnego, by móc jutro zmienić kierunek polityki francuskiej.

Obecnie rola takich ugrupowań, jak np. „La Jeune Republique", „Union Progressiste", nie tyle polegać ma na tworzeniu wielkiej partii pośredniej między SFIO a partią komunistyczną, ile na maksymalnym wykorzystaniu nowych perspektyw, które się przed nami otwierają, biorąc pod specjalną uwagę sytuację wynikającą z postępującego upadku francuskiej partii socjalistycznej, która w chwili obecnej powinna ulegać odradzaniu się, a która jest całkowicie zamknięta w sobie. Brak SFIO na arenie ludowej jest jednym z najbardziej dramatycznych faktów aktualnej fazy naszego życia politycznego.

W obliczu tego rozkładu partii socjalistycznej, przegrupowanie lewicy w sensie owocnego wykorzystania sytuacji ostatnio stworzonej jest rzeczywiście koniecznością.

Konieczność przegrupowania wszystkich małych grupek politycznych, powiązania naszej akcji politycznej w minimum jakiejś struktury, jakiejś organizacji, odczuwana jest od dawna. Czyniono nawet szereg doświadczeń i muszę odpowiedzieć, że dotychczas wszystkie były mniej lub więcej nieudane. Za ich niepowodzenie ponoszą odpowiedzialność nie tylko ci, którzy brali w nich udział. Jeżeli się nie powiodły, to dlatego, że zagadnienia, które wówczas powstawały, nie pokrywały się dokładnie z dzisiejszymi, że sytuacja nie była dojrzała.

Trzeba podkreślić, że na ogół u wszystkich progresistów zmieniły się również pojęcia zawiści i pretensje ucichły i ma się wrażenie, że horyzont się rozjaśnia, że idziemy w przyśpieszonym tempie w kierunku zjednoczenia.

Henri Hermand

JACQUES CHATAGNER

PODSUMOWANIE OBRAD KONGRESU

„QUINZAINE" nie jest i nigdy nie była „szkołą myślicieli". „Quinzaine" nie jest i nie była organizacją. Dlatego nasz kongres tak samo jak w latach ubiegłych, nie może się zakończyć żadną „deklaracją" ani też zaleceniami. Tym niemniej podsumowanie tych dwóch dni dyskusji i wyciągnięcie wniosków pozwalających sprecyzować w jakim kierunku ma pójść działalność „Quinzaine" w przyszłym roku — może być bardzo pożyteczne.

Niektórzy z naszych przyjaciół rzucili nam ostrzeżenie: „Uwaga! „Quinzaine" była dotychczas wszystkim po trochu i zachodzi ryzyko, że może się znaleźć w sytuacji dwuznacznej. Czasami trzeba dokonać wyboru." Przypomnienie to było zapewne potrzebne. Jednakże nie po to, by zakwestionować to, co stanowi o odrębności pisma. Dziś, tak samo jak w przeszłości, jednym z najwartościowszych stwierdzeń zjazdu jest niewątpliwie stwierdzenie tej właśnie odrębności. Odrębność „Quinzaine" jest bogactwem, nawet jeśli utrudnia ona nam działalność. Zmusza ona niewątpliwie do pewnej cierpliwości, pozwala jednak również na włączanie z każdym dniem większej grupy chrześcijan w sprawy, które stanowiły dotychczas przedmiot troski jedynie niewielu. A fakt ten posiada bardzo duże znaczenie.

Mimo wszystko przypomnienie to było potrzebne, by pozwolić nam wskazać na — jak to kongres tegoroczny raz jeszcze potwierdził: — przytaczam ich własne słowa — „sytuowanie się wysiłków „Quinzaine" na stanowisku perspektyw robotniczych i czysto rewolucyjnych."

Co to znaczy? Nie chodzi tu o jakieś sentymentalne stwierdzenie lecz o przekonanie, że przyszłość naszego kraju zarysowuje się wokół klasy robotniczej i że nowa cywilizacja powstawać będzie wokół wartości zawartych w ruchu robotniczym. Tę opcję musimy podtrzymywać jednomyślnie. Musimy również dać jej wyraz w czynach nie poprzestając na słowach. Rolą „Quinzaine" jest dać świadectwo tej rewolucyjnej opcji poprzez konkretne zaangażowanie chrześcijan na całym świecie, dać przykład solidarności w walce chrześcijan u boku ich niewierzących braci przeciwko wyzyskowi i wojnie. Nie sądzę, aby taka solidarność mogła być kiedykolwiek uważana za „sentymentalizm" popychający chrześcijan w objęcia klasy robotniczej „z obawy, by się nie spóźnić na pociąg".

Wydaje mi się, że rozpoczętą pracę polityczną musimy nadal prowadzić pod tym kątem widzenia. Prawdą jest, że czas wyrzutów sumienia przeminął, i że zbyt znikoma byłaby rola „Quinzaine", gdybyśmy mieli zadowolić się rolą „wyrzutów sumienia M.R.P.". Wydaje mi się natomiast, że powinniśmy trzeźwo rozpatrzyć, jakie przeszkody konkretnie hamują np. umacnianie się jedności działania klasy robotniczej, względnie rozwój powszechnej działalności na rzecz pokoju. Czyż ta próba analizy i wyjaśnienia nie jest konieczna, by wraz ze wszystkimi robotnikami naszego kraju, nie wyłączając tych, których zwiodły kłamstwa i propaganda, stworzyć siłę, która jedynie pozwoli na narzucenie nowej orientacji w polityce francuskiej?

Z tego samego punktu widzenia musimy również ustawić zagadnienie lewicy, o której tyle razy wspominano w czasie kongresu.

Słusznie powiedziano, że czas doświadczeń minął. A. Denis przypomniał, że problem owocnej polityki stoi ponad zagadnieniami indywidualnymi. Istotnie w ten sposób zagadnienie to powinno być ujęte. Czy ta nowa formacja polityczna będzie służyła tym samym celom, które nam przyświecają, czy nie, a więc stworzeniu w tym kraju nowej większości opartej na siłach ludowych, dążeniu ku zjednoczeniu klasy robotniczej, umocnieniu wysiłków narodów w celu osiągnięcia pokoju? To jest jedyny problem. Jeżeli to przegrupowanie (lewicy) będzie miało służyć tym celom, poprzemy je w miarę naszych możliwości. Jednakże jeżeli miałoby im szkodzić będziemy głośno ostrzegać przed niebezpieczeństwem.

Dlatego wydaje mi się, że najbliższa działalność „Quinzaine" — powinna się sprowadzać do próby zdefiniowania, wraz z innymi, warunków, w których przegrupowanie to spełniłoby nasze oczekiwania.

Wydaje mi się, że dwa warunki już się wyłoniły w czasie naszej dyskusji. Pierwszy — to konieczny i efektywny udział klasy robotniczej w próbach tego rodzaju, a w konsekwencji i organizacji reprezentujących tę klasę. Drugi — to konieczność dokonywania tego wysiłku nie tylko w czołowej grupie przywódców, lecz również u podstaw, to znaczy poprzez bezpośrednie kontakty między działaczami różnych organizacji znajdujące swój wyraz w natychmiast rozpoczynającej się wspólnej akcji.

W każdym razie — moim zdaniem, zgodnie z powołaniem „Quinzaine", nasza rola musi się sprowadzać jedynie do ułatwienia dialogu, który może przynieść korzyści jednym i drugim, nie może zaś nigdy być mowy o tym, by „Quinzaine" stała się platformą nowej organizacji politycznej.

W płaszczyźnie religijnej, zdajemy sobie sprawę — używając wyrażenia naszych zamorskich przyjaciół — z „naszej strasznej odpowiedzialności." Referat J. Verlhac i dyskusja jaka po nim nastąpiła pozwoliły nam jaśniej zdać sobie sprawę z perspektyw w jakich umiejscawia się nasza działalność. Wiemy także dobrze, że pozostaje jeszcze zagadnienie swego pogłębiania wiary, którego wszystkim nam trzeba.

Niejednokrotnie nawiedza nas uczucie bezsilności w obliczu tego niepokoju, dobrze bowiem wyczuwamy, że w wielu wypadkach Kościół nie może mu zaradzić. Jednakże wielkim złudzeniem byłoby wierzyć i pozwalać wierzyć, że może mu zaradzić „Quinzaine", jak gdyby mogła ona być „Kościołem dnia dzisiejszego lub jutra". „Quinzaine" może jedynie nieustannie przypominać o tym niepokoju, o pytaniach stawianych Kościołowi, który sam jeden tylko może i posiada moc dania odpowiedzi. „Quinzaine" jest tylko tym „odłamkiem, o którym wspomniał jeden z naszych przyjaciół i który powinien umocnić się w Kościele za pośrednictwem nas wszystkich". „Powinniśmy nieustannie informować Hierarchię, to znaczy bez złości, lecz z miłością mówić o tym, czego wymaga chrześcijanin po to, aby Kościół był na poziomie świata i obecny w świecie. Wydaje mi się, że jest rzeczą najważniejszą to, aby Kościół nie zasnął ponownie, zbyt długo bowiem był w uśpieniu."

Nasza nadzieja jest przede wszystkim wynikiem naszej wiary i pewności, że Kościół jest żywy i nie może odciąć się od życia.

Na zakończenie tego kongresu, który zgromadził o wiele większą liczbę naszych przyjaciół niż w roku ubiegłym, możemy powiedzieć, że nadzieje są całkowicie usprawiedliwione. Może niektórzy się przelękną, gdy pomyślą, że „kolumny uderzeniowe" skrajnej prawicy przygotowane do ostatecznego ataku rozrastają się nadal. Ale jakże te oszczerstwa i nieświadomość wydają nam się śmieszne po tym kongresie, chociaż są bardzo poważne.

Siła „Quinzaine" to nie jest siła kilku przywódców „prowadzących grę na rzecz Moskwy" czy też jakichś tam intelektualistów wymyślających problemy dla zaniepokojenia działaczy. To jest siła coraz liczniejszych chrześcijan, którzy zbyt długo cierpieli z powodu odosobnienia wiodącego do bezładu i opuszczenia, a którzy znaleźli jeden wspólny wyraz i znowu mają nadzieję, ponieważ stwierdzają, że ich problemy interesują również innych i, że ich działalność nie jest osamotniona. Siła „Quinzaine" — to siła głębokich aspiracji sprawiających, że dziś tylu chrześcijan nie tylko potwierdza ale i przeżywa obecność Kościoła w świecie. Dlatego też zapewne możemy dziś rozstać się wymawiając te słowa, pozornie bez znaczenia, lecz jednak wyrażające całą naszą nadzieję i wolę, słowa: „Do przyszłego roku."

Jacques Chatagner

FELIKS ARASZKIEWICZ

„ROMANTYK REALIZMU"

(Drugi tom Dzienników Żeromskiego)

PIERWSZY tom Dzienników, wydany w roku ubiegłym, obejmował czasy kieleckie od 19 maja 1882 do 15 sierpnia 1886. Zawierał on tekst pięciu tomików zeszytowych rękopisu spośród dziesięciu, które w tym czasie zostały napisane [1]).

Mimo luk czasowych, które powstały wskutek zaginięcia pięciu zeszytów, można było ustalić pogląd na ten okres życia i twórczości w oparciu o wielką ilość faktów i niemniejszą ilość wypowiedzi, charakteryzujących usposobienie, myśli, uczucia i dążenia autora.

Tom pierwszy jest przede wszystkim dokumentem biograficznym młodzieńca w wieku od 18 do 22 lat, który wyszedł ze środowiska deklasującej się drobnej szlachty (zjawisko typowe w tym czasie), a pozostawiony z powodu sieroctwa samemu sobie musiał przebijać się przez życie własną pracą z biedą i niedostatkiem za pan brat.

Tom ów świadczy, iż ten typowy wychodźca z folwarku szlacheckiego nie był jednostką przeciętną (chociaż uczył się w gimnazjum nieszczególnie) że — przeciwnie — wykazywał cechy wyrazistej indywidualności o ściśle określonych ambicjach pisarskich, o szerokich zainteresowaniach intelektualnych (b. obfita lektura świadomie dobierana), o silnych tendencjach społecznych, o naturze ostro reagującej, przede wszystkim emocjonalnie, na krzywdę chłopa w feudalno-folwarcznym ustroju rolnym.

Zachęcony przez swego ukochanego nauczyciela, G. Bema, do pisania dziennika, spowiadał się w nim z najgłębszą szczerością ze wszystkich przeżyć, bujnie goszczących w jego niezharmonizowanej, pełnej niepokojów i walk duszy.

Typowy wychodźca z folwarku nie był typowym przedstawicielem swego nowego środowiska w Kielcach, w którym to mieście był „gimnazjalnym i poniekąd, dzięki nieobecności innego, miejskim, ogólnoklerykowskim poetą".

Obserwując zachłannie życie środowisk, w których przebywał na wsi i w mieście, opisywał je w dzienniku na gorąco z zaznaczeniem osobistego stosunku do spostrzeganych zjawisk i zdarzeń. Przy tej sposobności szeroko a często i głęboko analizował siebie samego, przyuczając się do wnikliwej analizy psychologicznej.

Obserwacje te świadomie traktował, jako materiał do zamierzonej twórczości literackiej, uzupełniając je wiedzą osiąganą z lektury dzieł naukowych i beletrystycznych (Buckle, Taine, Ochorowicz, Prus, Orzeszkowa, Hugo, Mickiewicz, Konopnicka). Nieustannie próbował swych sił (mimo krótkich okresów zniechęcenia) w twórczości literackiej pisząc obficie wiersze liryczne lub epickie, opowiadania, nowele, szkice powieściowe, dramaty i rozprawki krytyczne (razem w ciągu czterech lat około 80 pozycji).

Sam dziennik traktował również nie tylko jako pole do osobistych wynurzeń, ale także jako zaprawę we władaniu piórem: każdy następny zeszyt zawiera coraz częstsze partie, szczególnie opisowe, o powiększających się walorach artystycznych.

Ponieważ zachowała się znikoma ilość tych „klerykowskich" prób literackich, tym większej wagi nabierają dzienniki jako podręczny warsztat twórczy młodego adepta sztuki pisarskiej. Podniecał się nadzieją sławy, którą miało mu dać pisarstwo o zasadniczych sprawach narodu.

Oparł się na tradycjach wielkiego, buntowniczego romantyzmu, ogarniającego umysłem i sercem niewolę narodu i niedolę ludu. Spierał się z trzeźwymi pozytywistami ulegając jednak często ich argumentacji racjonalistycznej, przez co wpadał w

P. S. Ż. w Kielcach. Poklask pański byłby szkodliwy. Są drapieżne sępy. Najtrwalsze pomniki budują się w sercach słuchaczy.

P. Ks. w Wąchocku. Rachunek za zebraną prenumeratę dotąd nieuregulowany. Czekamy do Nowego Roku.

— KIELECKA IZBA SKARBOWA ogłasza, że w d. 17 (29) Grudnia 1882 r. w sali jej posiedzeń odbywać się będzie publiczna licytacyja na dzierżawę myta, pobieranego na moście taryfowym we wsi Cedzynie, pow. kieleckim, na czas od 20 Maja (1 Czerw-

Odpowiedź od redakcji „Gazety Kieleckiej" (1882 r.) odmawiająca druku artykułu o prof. Bemie

nocami przysiadywać, aby zadość temu uczynił, Przyjaciel więc prosi aby do listów z żądaniem zmiany adresu dołączano markami pocztowemi kop. 7, jako wynagrodzenie za pracę do której ekspedytor nie jest obowiązany.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Stefanowi Ż w Kielcach Wierszyk o sośnie bardzo ładny, ale właśnie dlatego że miły i serdeczny, nie mógł być zamieszczony w Przyjacielu Dzieci. Dramacik Janusz i Marta świadczy dobrze o zdolnościach Autora, ale dziś oddawać się takiej pracy, gdy do wiedzy drzwi otwarte, to jeszcze zawcześnie.

Odpowiedź redakcji „Przyjaciela Dzieci" (1883 r.) odmawiająca druku wiersza patriotycznego

walki wewnętrzne, chaos myślowy, dezorientację i „cierpienia duszne" zaprawione pesymizmem i myślami o samobójstwie. Nazywał siebie romantykiem realizmu, co można i dziś w odniesieniu do całej jego twórczości i postawy życiowej uznać za określenie słuszne i uzasadnione.

Wtedy, gdy pisał te słowa, była to nazwa nowa, znakomicie ilustrująca przemianę, jaka już wschodziła w nowym pokoleniu literackim, pamiętać bowiem trzeba, że starsi, wyznawcy haseł pozytywistycznych, mocno już się rozczarowali do tych haseł w obliczu rzeczywistości historycznej, narastających konfliktów społecznych i wzmagającego się ucisku narodowego zaborców.

Tom I Dzienników, o ile spojrzymy nań jak na dzieło literackie, stanowi typowy okaz gatunku pamiętnikarskiego o przypadkowej kompozycji, niezbędnej a dostosowanej do potrzeb szczerego, intymnego wyrazu przeżyć.

Z objawami świadomej obróbki artystycznej prawie zupełnie nie spotykamy się w tym tomie. Obróbki tej dokonywał w stosunku do swych licznych pierwocin literackich, o których dokładnie wspomina notując każdą niemal pozycję w postaci uwag i spostrzeżeń dotyczących wyboru tematyki, gatunku literackiego, budowy charakterów, akcji, stylu, języka.

Trafiające się coraz częściej w samym Dzienniku fragmenty artystyczne mają charakter niezamierzony, przygodny, a będący wyrazem natury pisarskiej autora. Są one jeszcze jednym wskaźnikiem odrębnego autentyzmu Dzienników, które nas interesują nie jako spowiedź dziecięcia wieku w ogóle, ale właśnie jako spowiedź tej indywidualności, która rozrosła się po latach w osobowość wielkiego pisarza i działacza społecznego.

Jako dokument społeczno-kulturalny I t. Dzienników przynosi wiele materiału do wiedzy o kieleckiej „prowincji" z tych czasów pod bystrą, chociaż niezbyt szeroką, ale samodzielną i krytyczną obserwacją nie aprobującego tej rzeczywistości młodego autora, który z całą żywiołowością przeciwstawia się zacofaniu i stęchliźnie społeczno-obyczajowej.

Jako dzieło literackie t. I Dzienników jest dokumentem ogromnej wagi do poznania — od strony ideologicznej i artystycznej — dziejów twórczości wielkiego później pisarza [2]).

Tekst t. I i referat W. Borowego o dwu pierwszych zeszytach Dzienników rzucają wyraźne światło na treść t. II, na rozwój wartości ogólno-dokumentalnych Dziennika i specjalnie artystycznych Żeromskiego podczas pierwszego dłuższego pobytu w Warszawie (zapiski od 18.11.86 do 1. 12. 87, zeszyt XVI od 1. 12. 87 do czerwca 88 r. zaginął).

Przedmowa [3] A. Wasilewskiego w analizie całości uwzględnia zawartość nie wydanego jeszcze t. III i kończy się klamrą syntetyczną, dotyczącą postawy ideologicznej przyszłego autora „Syzyfowych prac", w sposób następujący: „W jego (Żeromskiego) sprzecznej postawie ideowej zawsze tkwił cień proletariackiej prawdy, i on to nie dawał spokoju sumieniu, on nie pozwalał ufać sprawiedliwości własnych, klasowych rozwiązań. Gwałtowność oskarżeń Żeromskiego była wypadkową reformizmu i niedostatecznej wiary w reformizm, podważany siłą słuszności robotniczych idei".

Jako jeden spośród wielu dowodów służących do wyprowadzenia tego wniosku podaje Wasilewski wynurzenia młodego pisarza w końcowym zeszycie jeszcze nie wydanego t. III: „Obrzydła mi już zgniła filisteria „klas wyższych", zwracam się tam, gdzie jest niezgłębiona rozmaitość, wiecznie zmieniająca formy życia, niezbadana jest przyroda, świat — do ludu. I jako człowiek, i jako artysta znajduje tu wszystko, czego szukam: fakty chwytające za serce, piękne i ciekawości zaspokojenie. Miłuję cię, wielki ludu prostaczy, schylam się do stóp z błaganiem byś zrozumiał takich jak ja i byś kiedyś, gdy nie stanie, dobrze nas wspominał".

Szkoda, że Wasilewski nie podał chociaż kilku cytatów z ostatnich zeszytów Dzienników, które by pozwoliły na wnioski syntetyzujące również w sprawie ustalania wytycznych w postępowaniu artystycznym pisarza na omówionej powyżej podbudowie ideologicznej.

Odbiorca, otrzymujący „Dzienniki" w dłuższych odstępach czasu i czekający jeszcze na część ostatnią, mimo woli kawałkuje dzieło, które z natury rzeczy stanowi jedną, ciągłą całość — jako takie ma swój jedyny sens, uprawniający do uogólniających wniosków.

Nie znam przyczyn opóźniających wydawnictwo całości, ale muszę stwierdzić ujemną stronę ukazywania się częściami i w dodatku w tak odległych odstępach czasu. Na okoliczności te zwracam uwagę, ponieważ wpływają one ujemnie na możliwości krytyczne w stosunku do t. II, będącego środkowym kontekstem wszystkich Dzienników. Dlatego właśnie trzeba było nawiązać dość obszernie do zawartości t. I i poczynić rzuty wprzód w oparciu o wypowiedzi znającego także i cz. III krytyka.

Z punktu widzenia edytorskiego t. II przedstawia się lepiej niż tom poprzedni. Zrehabilitowano przykre przeoczenie z t. I pomijające nazwiska Borowego i Adamczewskiego, którzy przygotowali teksty do druku (wiadomo, co to za robota i jakiej wymaga wiedzy, sumienności, intuicji filologicznej i postawy etycznej) oraz J. Kądzieli, jako autora przypisów. Czujność edytorską posunięto do granic najdalszych, przez zwrócenie się do najwybitniejszych specjalistów i znawców przedmiotu: prof. Hahna, J. Iwaszkiewicza, prof. Pigonia i prof. Szweykowskiego — o kontrolę przypisów.

Zmniejszenie uwag i notat wydawcy również wpłynęło na przejrzystość graficzną tekstu. Słusznie pozostawiono przy sporządzaniu przypisów zasady, przyjęte w części I Dzienników.

Materiały ilustracyjne, udostępnione redakcji przez prof. St. Dąbrowskiego, a dotyczące życia teatralnego Warszawy w l. 1880—1890, cennie ożywiają t. II w związku z tekstem, w którym tak często jest mowa o teatrze i zamiłowaniach teatralnych młodego Żeromskiego.

Pewna ilość ilustracji, wartościowych artystycznie, przedstawiających kontrasty społeczno-obyczajowe ówczesnej Warszawy, posiada również wartość dokumentalną, właściwie tu zastosowaną, brak jednakże ilustracji, dotyczących życia młodzieży tych czasów, które tak szeroko uwzględnia autor Dzienników, a przecież wykluwało się wtedy na dobre różnicowanie polityczne w społeczeństwie i wśród młodzieży zarówno akademickiej, jak i rzemieślniczej oraz robotniczej. Żeromski stykał się z tymi różnicującymi się grupami i spowiadał ze stosunku do nich, kształtując w trudzie swój światopogląd ogólny i polityczny.

Brak również ilustracji, przedstawiających pisarzy i publicystów, z którymi w tym czasie stykał się Żeromski osobiście lub o nich pisał z entuzjazmem, niechęcią, wyrzutem albo odrazą, a którzy reprezentowali nurty główne ówczesnej literatury i publicystyki [3]).

Zeszyty Dzienników, wydane w t. II, obejmują bez przerw jeden rok i kilkanaście dni pobytu w Warszawie, w tym kilkutygodniowy pobyt na kondycji w Szulmierzu koło Ciechanowa i dorywcze wyjazdy do Białej Podlaskiej.

Żeromski studiuje weterynarię (zamiast medycyny, o której marzył) w warunkach materialnych bardzo złych, głodując nieraz tygodniami. Przyjaźni się (z rezerwą) zaledwie z kilku kolegami, ale bierze żywy udział w pracach kół samokształceniowych wygłaszając referaty o Mickiewiczu, Słowackim, Asnyku i Konopnickiej, uczestnicząc w dyskusjach „akademickich" oraz występując jako recytator z żelaznym repertuarem poezji wieszczów.

Na zebraniach tych kół czytają także Marksa, Engelsa, Lassala, Fouriera, Saint-Simona, ale w umysłach „kółkowiczów" panuje chaos, bo nawet Żeromski uważający się za czerwonego demokratę — przeciwstawia się Marksowi, uważając się nadal za wyznawcę Taine'a i Spencera.

Ale głodowanie i obserwacja stosunków robią swoje, bo jednak zanotuje: „Tak, to już nie myślicielstwo gada przeze mnie, ale czarny tłum głodnych, zmiażdżonych, odepchniętych od stołu. Więc komunizm?"

W r. 87, po powrocie z Szulmierza, gdzie wydobrzał fizycznie i skąd wywiózł nową serię obserwacji życia arystokracji ziemiańskiej oraz kontrastowo — nędzy wsi i parobków, trafił na nową atmosferę polityczną, zapoczątkowaną działaniem Zetu powstałego pod auspicjami T. Jeża („Rzecz o obronie czynnej" i o „Skarbie narodowym").

Żeromski reaguje żywo na podniesione hasło czynnej walki o niepodległość, zarzuconą od czasu powstania styczniowego.

Tekst t. II Dzienników nie wskazuje na bezpośrednią przynależność Żeromskiego do tajnego Zetu, skonstruowanego kilkustopniowo, jak Filomaci, Filareci i Promieniści wileńscy, natomiast świadczy, iż przebywał on w atmosferze tej organizacji. W każdym razie w t y m c z a s i e uwielbiał Jeża, czynnie propagował jego idee i broszury, krytycznie ustosunkowywał się do tendencji społecznych w duchu „narodowolstwa", szerzone przez nowopowstały „Głos" [4]).

A. Wasilewski, znający zeszyty dzienników, które wejść mają do t. III, powiadamia, iż w tych latach (88—90) następuje odejście Żeromskiego od Jeża na skutek jego stanowiska solidarystycznego i — ostre przeciwstawienie się Sienkiewiczowi, a nawet Prusowi, jako propagatorom „zgody narodowej" i liberalizmu ekonomicznego, podaje jednak jednocześnie, że startuje jako pisarz w związku z podjęciem tematów życia wsi w „Głosie" (89 r.).

Wiemy skądinąd (Piołun-Novszewski), że współpracownictwo Żeromskiego z „Głosem" łączyło się z pośrednictwem (na gruncie osobistym) przyszłej narzeczonej pisarza, Oktawii z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczowej (wiadomo, że takie przypadki prywatne posiadają często dalekie konsekwencje w stosunkach redakcyjnych).

Tom II Dzienników zawiera mnóstwo opisywanych faktów i wynurzeń osobistych autora, połączonych z tłem stosunków społecznych środowisk, w których się obracał. Nawet sprawy najbardziej intymne, dotyczące życia erotycznego, zawsze znajdują refleksy natury społecznej, chociażby w postaci wyrzutów sumienia, gdy zaniedbuje pracę na rzecz uniesień miłosnych (scena w Białej z chłopami unitami na stacji).

W ogóle analizy sumienia zajmują poważne miejsce na kartach dziennika, chociaż jednocześnie plączą się z buntowniczością moralną i pseudocynicznymi wyskokami, świadczącymi o charakterze niezrównoważonym, o niebywałej nerwowości ze skłonnością do neurastenii słabego organizmu, wycieńczonego nędzarskim bytowaniem materialnym.

Światopoglądowo całość tej grupy dzienników obrazuje postawę hamletyzującą, z lubością rozdzielającą włosek na dziesięcioro (przejawia się to często w stylizacji na hamletyzm Krasińskiego, pierwsze strony o tym świadczą), sceptycyzm we wszystkim, „wątpię o wszystkim, nie wierzę w nic", „ja — to romantyk w kapeluszu pozytywisty", skłonność do anarchistycznego chaosu myślowego (str. 70), czerwony patriotyzm, ale niechęć do socjalistów i Marksa, nienawiść do arystokracji, ale łezka rozrzewnienia przy wyjeździe z dworu szulmierskiego, naturalistyczny pogląd na miłość (str. 59) i marzycielski kult panny X (późniejszego prototypu Siłaczki).

Przebywanie pod urokiem Pieśni Filaretów (str. 27), w kulcie dla Mickiewicza (str. 24), ale „wystarcza mi Spencer". Agnostycyzm ze skłonnością do panteizmu (str. 150, 246), ale kult litości (str. 246). Pesymizm zupełny — i nagłe wybuchy optymizmu (str. 256).

Przykłady wymienione wykazują, iż Żeromski tego czasu wciąż szuka gorączkowo określonego miejsca dla siebie w chaosie faktów, kierunków i prądów umysłowych tej skłóconej epoki. Wierzy w Bema, potem Świętochowski na długo go urzeka, wielbi Jeża, staje na baczność przed grobowcem Zygmunta Krasińskiego w Opinogórze; odrzuca Boga, ale szuka Stworzyciela (str. 256), odrzuca Marksa, ale marzy o komunizmie, odrzuca walkę klas, ale wielbi miłość bliźniego — Chrystusową — w wykładni proletariackiej.

Trzeba przyznać, że pod względem tych sprzeczności dzienniki owych czasów prezentują typowość młodości w ówczesnych warunkach; w tym sensie był „dziecięciem wieku".

Czym się ratuje w tym chaosie sprzeczności?

Przede wszystkim — żarliwym umiłowaniem ludu wiejskiego i przyrody ojczystej, pasją pisarską w nieustannych próbach tworzenia, nieustępliwą ambicją sławy pisarskiej, zdobywanej pięknym słowem w walce z krzywdzicielami narodu i wyzyskiwaczami ludu, namiętnym przywiązaniem — biologicznym — do życia, do rozkoszy anielskich i diabelskich, intelektualnych i zmysłowo-uczuciowych.

Pasja bije ze wszystkich kart tych dzienników, nic autorowi nie jest obojętne, kocha, nienawidzi, z pióra — wyrabia oręż walki.

Nie udał się projekt wyjazdu na studia do Zurychu, z dumą znosi głód, ale zawsze jest niepodległy duchem, szukający własnej drogi, studiuje życie, charaktery ludzkie — i własny — z niewiarygodną cierpliwością ponawia próby pisarskie, kołacze do redakcji czasopism, za ostatnie dosłownie grosze przeżywa teatr (dramat) i operę. Hamletyzuje, kordianizuje, ale z uporem rzeźbi własną osobowość.

Ogromną pomocą w tym dziele życia własnego i w dziele kształtowania w sobie artysty („żyć — znaczy pisać!") była mu lektura, dobrana z premedytacją, czytana zachłannie i przemyśliwana do gruntu (z notatkami).

Zawsze powraca do Mickiewicza — do bożyszcza talentu i patriotyzmu. Niezmiennie jest wierny opowiada-

---

HENRYK KMITA

PRZED ZJAZDEM

W roku 1932, a więc na dwa lata przed I Wszechzwiązkowym Zjazdem Pisarzy Radzieckich, Maksym Gorki tak pisał w liście do ówczesnego dyrektora Gosizdatu:

„Naszemu czytelnikowi potrzebna jest jasność artystycznego wyrazu, łącząca się harmonijnie z teoretyczną prawdą epoki".

Słowa te określające chyba najprościej, najlapidarniej istotę i zadania realizmu socjalistycznego, patronują dziś wielkiej, ogólnonarodowej dyskusji o literaturze, odbywającej się na łamach pism radzieckich przed II Wszechzwiązkowym Zjazdem Pisarzy. Dyskusja, w której biorą udział nie tylko ludzie pióra — krytycy i literaci, ale i szeroki ogół czytelników, ma na celu — z jednej strony podsumowanie osiągnięć i niedociągnięć literatury międzyzjazdowego dwudziestolecia, z drugiej zaś strony wysunięcie konkretnych zadań i postulatów na przyszłość. Rzecz prosta, że dyskusja ta, będąca dla społeczeństwa radzieckiego wydarzeniem kulturalnym niezwykłej wagi, jest przedmiotem wnikliwej obserwacji zagranicy.

W artykule „Pod sztandarem realizmu socjalistycznego" jeden z czołowych pisarzy, Aleksy Surkow, zwraca na ten fakt szczególną uwagę:

„Omawiając w dyskusji drogi rozwoju naszej literatury, nie możemy zapominać i o tym, że wśród literatów w krajach demokracji ludowej, wśród wszystkich postępowych pisarzy świata z każdym rokiem rośnie zainteresowanie dla naszych doświadczeń twórczych".

JAK już nadmieniliśmy, dyskusja przedzjazdowa przebiega pod znakiem podsumowania dorobku literatury radzieckiej minionych lat dwudziestu. Podkreśla się wielkie zdobycze, osiągnięte przez licznych prozaików, poetów i dramaturgów, ale nie szczędzi się również słów ostrej krytyki tym pisarzom, którzy w omawianym okresie nie potrafili stanąć na wysokości zadania, tworząc rzeczy słabe, a nieraz wręcz społecznie szkodliwe.

Wnikliwej oceny dotychczasowych osiągnięć radzieckich pisarzy dokonuje czasopismo „Kommunist" (Nr 9, 1954 r.), charakteryzując literaturę lat trzydziestych:

„Powieści prozaików, sztuki dramaturgów, wiersze poetów ukazały całemu światu nowe państwo socjalistyczne. Wielu wybitnych pisarzy radzieckich zakończyło pracę nad wielkimi malowidłami epickimi, które odzwierciedliły epokę dokonującego się w życiu całego narodu przełomu — epokę przygotowania i dokonania rewolucji socjalistycznej oraz okres wojny domowej („Klim Samgin" M. Gorkiego, „Cichy Don" M. Szołochowa, „Droga przez mękę" A. Tołstoja)."

W dalszym ciągu „Kommunist" przypomina, że w tym samym czasie, gdy na zachodzie szykowano się do drugiej wojny światowej, cała literatura radziecka toczyła nieugiętą walkę z imperialistycznymi zaborcami w imię humanizmu socjalistycznego. „W latach trzydziestych — stwierdza pismo — wielu pisarzy, kontynuując tradycje Gorkiego i Majakowskiego, stworzyło dzieła, które demaskowały zwierzęcą istotę imperializmu."

Zaprzeczeniem filisterskiego hasła „Inter arma silent Musae" w dniach Wielkiej Wojny Narodowej były płomienne artykuły i szkice znanych publicystów i literatów — A. Tołstoja, Erenburga, Tichonowa, Szołochowa i innych, wzywające do nieugiętej walki z najeźdźcą, pełna patriotycznych uczuć poezja Surkowa, Tichonowa, Szczipaczowa, Isakowskiego, wreszcie nacechowane głęboką wiarą w zwycięstwo opowiadania i powieści Sobolewa, Pawlenki, Wasilewskiej, Simonowa czy Gorbatowa. Wydane już po wojnie, a opiewające bohaterskie czyny patriotów radzieckich powieści Fadiejewa — „Młoda Gwardia" i Polewoja — „Opowieść o prawdziwym człowieku" osiągnęły niebywałą popularność poza granicami Związku Radzieckiego.

Wymieniając w dalszym ciągu wartościowe pozycje prozy radzieckiej, poświęcone bądź to okresowi minionej wojny, bądź też pokojowej pracy ludzi radzieckich, czasopismo „Kommunist" zwraca uwagę na następujące pozycje, które zresztą są dobrze znane i polskiemu czytelnikowi. Są to m. in. „Biała brzoza" M. Bubiennowa, „Burza" Erenburga, „Szczęście" P. Pawlenki, „Kawaler Złotej Gwiazdy" S. Babajewskiego, „Żniwa" G. Nikołajewej, „Żurbinowie" W. Koczetowa.

Nie wolno również pominąć wielkiego rozkwitu literatury poszczególnych republik Związku Radzieckiego. Na czoło w tej dziedzinie wysuwają się pisarze Ukrainy i Białorusi. W minionym dwudziestoleciu następuje również rozkwit literatury krajów ongiś kulturalnie zacofanych, jak: Kazachstan, Kirgizja, Tadżystan czy Azerbejdżan.

Jednakże ten olbrzymi rozmach życia kulturalnego narodów Związku Radzieckiego, bujny rozkwit ich literatury, służącej określonej funkcji społecznej, nie przesłania uczestnikom przedzjazdowej dyskusji licznych braków, niedociągnięć i odchyleń od zasad realizmu socjalistycznego, dających się zauważyć u niektórych pisarzy.

To mniej lub więcej świadome obniżanie lotu w twórczości poszczególnych pisarzy — prozaików, poetów, dramaturgów i satyryków jest tematem artykułu W. J e r m i ł o w a, zamieszczonego w „Prawdzie" (3. VI. 54 r.).

Autor mówiąc o dwóch zasadniczych rodzajach odchyleń od realizmu socjalistycznego, precyzuje je w sposób następujący: „Są to, z jednej strony, obce literaturze radzieckiej wpływy idealistycznych metod artystycznych, między innymi formalizmu, dekadentyzmu, naturalizmu burżuazyjnego... Z drugiej strony — wyrazem owych odchyleń są przejawy wulgaryzacji realizmu socjalistycznego, zarówno w samej literaturze, jak i w teorii literatury i krytyce literackiej; prowadzą one do zubożenia, do schematyzmu, do sprymityzowania obrazu naszego życia, do uproszczenia, a tym samym do pomniejszenia oblicza duchowego ludzi, do sekciarstwa, dogmatyzmu, do niezrozumienia tego, że jedynie realizm socjalistyczny zapewnia najszerszą swobodę rozwoju i różnorodność kierunków artystycznych, rozwoju talentów i indywidualnych stylów".

Jermiłow udowadnia na konkretnych przykładach, do jakich krańcowości dochodzą niektórzy pisarze, rzekomo występując w swych utworach do walki z lakiernictwem i bezkonfliktowością. Tak oto A. Marienhof niby to potępiając styl życia pewnej grupy młodzieży w sztuce pt. „Książce następca" popada w naturalizm i dekadentyzm. Podobnie — zarzucając im wręcz błąkanie się po bezdrożach bezideowości — ocenia W. Jermiłow twórczość dramaturgów I. Gorodeckiego i Ł. Zorina oraz poety B. Pasternaka, którego liryczny subiektywizm przechodzi w negację wszelkich wartości życia ludzkiego.

„Twórczość Borysa Pasternaka — pisze w artykule pt. „O specyfice literatury pięknej" G. N i k o ł a j e w a, autorka „Żniw" („Woprosy filosofii" Nr 5, 1953 r.) — to wymowny dowód, że talent nie ratuje pisarza, jeśli założeniem jego twórczości jest nie postępowy światopogląd, lecz obca nam koncepcja estetyczna."

niom Turgieniewa. Wynajduje mickiewiczowski ton u Konopnickiej, liryzuje z Asnykiem, wielokrotnie obcuje z humorem Prusa, unosi się nad Szekspirem, lubuje się światem ludzi i zwierząt A. Dygasińskiego, przegląda się w psychologii postaci powieściowych Bourgeta, zachwyca go Leopardi (choć walczy z jego pesymizmem), kocha W. Hugo jeszcze więcej niż w czasach kieleckich, wypowiada o nich wszystkich sądy nowatorskie, śmiałe i trafne.

Wstrzemięźliwy ideologicznie wobec Sienkiewicza (w tym czasie), rzuca kapitalne uwagi o „Potopie".

Lekturę literatury pięknej pogłębia dziełami naukowymi z anatomii, fizjologii, fizyki, filozofii (Draper, Taine, Espinas, Stewart, Franck, Daniel), ale w dalszym ciągu, tak jak w okresie kieleckim, prawie zupełnie nie czyta dzieł naukowych z zakresu społeczno-ekonomicznego (poza studiami wspólnymi na zebraniach koleżeńskich).

Z zakresu twórczości własnej tego krótkiego okresu notuje Żeromski 10 pozycji-tytułów: 4 artykuły krytyczne, referaty, 1 dramat, 9 opowiadań i nowel i tylko 1 wiersz.

W porównaniu z okresem kieleckim można stwierdzić dalszą jednakową intensywność twórczą i wyraźniejszą krystalizację gatunków. Rozrasta się ilościowo dział rozpraw krytycznych, zaznacza się gwałtowny spadek ilościowy prób dramatycznych na rzecz wzrostu pozycji nowelistyczno-powieściowych i — prawie zupełnie zanika skłonność do wierszy (zawsze dotąd słabych).

Nie mamy możliwości poznania tej twórczości, ponieważ nie zachowały się rękopisy, ale możemy ich jakość ogólną uświadomić sobie na podstawie wypowiedzi samego autora w Dziennikach:

„Chcę narysować tego chybionego pozytywistę, tego romantyka pozytywizmu, tego hamleta dzisiejszego, jakim sam jestem i jakich widzę wokół siebie tylu".

Chodziło zatem o realizm psychologiczno-społeczny na podbudowie typowości, obserwowanej subiektywnie na sobie samym — jako typowym przedstawicielu „dziecięcia wieku".

Realizm wyrazu rozumie często autor naturalistycznie w sensie bourgetowskim (psychologizująco).

Dalej — marzenia i próby opisów przyrody kieleckiej, które znajdą swój wyraz w samych dziennikach; marzenie o stworzeniu postaci chłopa w powieści (str. 54), o odtwarzaniu słabych ludzi i biciu w oczy społeczeństwu realną prawdą (str. 67), chęć rywalizacji z Dostojewskim i Dickensem (str. 231), (Dostojewskiego czyta dopiero teraz w Warszawie).

Nad całością marzeń i prób twórczych góruje miłość do sztuki: „Jakież to skuteczne i uczciwe i systematyczne lekarstwo ta sztuka! Opisuję to nad czym jęczałem całe noce".

„Czytając Korzeniowskiego robię pewne kombinacyjki, kształcę cokolwiek swój smak. Wiele rzeczy śmiesznych i ckliwych aż do wymiotów — ale to uczy oględności w szafowaniu stylem. Przed rokiem ja tym stylem pisałem".

I wreszcie: „Jestem embrionem... Mistrzu Olesiu, (reakcje na uwagi Świętochowskiego na nadesłany do „Prawdy" utwór) ...nie zabijaj mnie w łonie matki literatury! Obawiasz się, by mnie nie poroniła... Zbyteczna obawa: donosi bez szwanku do dziewiątego miesiąca".

Już w okresie kieleckim raziła młodego autora „Dzienników" w literaturze tendencja szyta grubymi ściegami haseł pozytywistycznych, nie uwzględniająca artystycznej obróbki pisarskiej, widział w tym publicystykę — nie twórczość i, co gorsze, brak istotnego realizmu. Dlatego już wtedy podobały mu się utwory Prusa, które dzięki humorowi taką bezpośrednią tendencję unicestwiały.

Teraz, w okresie warszawskim, sam przystępując do obróbki własnych tematów stara się, jak mówi, być obiektywny przy nadawaniu życia swoim bohaterom, stąd tytuły głównych prób ówczesnych: „Romantyk realizmu" i „Z teki obiektywisty".

Niewątpliwie było w tym coś z postawy naturalistycznej: „Zanim zacznę z naturalistyczną prawdą fotografować te dnie mojego życia"... Zdanie to dotyczy postawy w pamiętniku, jest więc spojrzeniem artysty na Dziennik, jako dzieło literackie.

Mamy także i teoretyczną wypowiedź na temat tendencji: „O co mnie głównie chodzi w powieści? O wynalezienie „głównego prądu". Wiemy, że jest reakcja i postęp, że są religijni i pozytywni, demokraci i arystokraci itd. — więc zestawić ich przekonania tak, jak oni je wygłaszają, i dać obrazowi tło jakieś i oświetlenie, które by nasz kierunek wysunęło na przód sceny? To nie dosyć. Taka rzecz — będzie tendencją, która nic nie jest warta. Znaleźć główny prąd, odnaleźć pokład, na którym Polak zbudował sobie swe wierzenia katolickie czy pozytywne, znaleźć ramy pozytywisty, które go zbliżają z katolikiem, znaleźć wspólną obu arterię, z której żyją, źle czy dobrze odżywiając ciało społeczne — oto co chcę znaleźć. Znalazłszy taką arterię, przedstawić ją umiejętnie, bezstronnie jak psychiatra czy anatom — oto zadanie mojej sztuki. A wyplątać się z labiryntu tworzenia ludzi, z zawikłań, z gliny, z której lepimy, zwalczyć trudności — to artyzm. Czy go posiadam?"

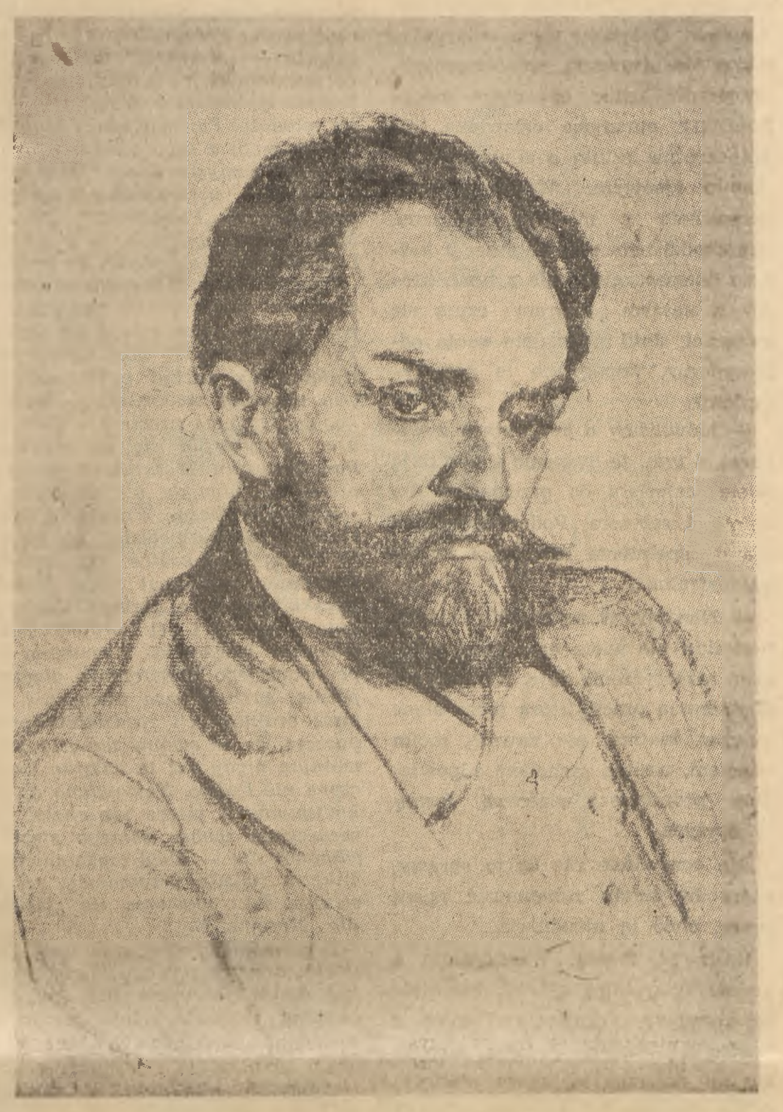

Stefan Żeromski
Malował K. Mordasewicz (1909)

Jak widzimy, wypowiedź ta jest już wyraźnym sformułowaniem programu ideowo-artystycznego, który z czasem nazwano realizmem krytycznym.

Świętochowski, do którego się zwracał o opinię o swych próbach literackich, takiego stanowiska nie pojmował, a z Prusem jeszcze się wtedy młody autor nie zbliżył.

Znajdujemy jednak coś więcej niż postawę realizmu krytycznego. Oto Żeromski zdaje sobie sprawę z klasowości literatury. Naprowadziły go na tę świadomość dyskusje z arystokratami w Szulmierzu, według których pisze pięknie i rozumnie tylko ten, kto hołduje ideałom klasy arystokratycznej i reakcyjnej społecznie; wszyscy inni, ich zdaniem, nie są artystami, lecz pismakami, których można kupić za parę rubli.

Mamy dalej, wśród szeregu wypowiedzi o własnym tworzeniu, o pojmowaniu sztuki i jej roli dla twórcy, sformułowanie różnicy między pojęciem *poeta i artysta*. Oczywiście, rozmyślanie to zastosowuje autor do własnych prób pisarskich i cech charakteru.

„Jestem, prawdę mówiąc, autorem mojego dziennika — i niczym więcej. Czy jestem artystą?... Że jestem poetą — o tym dziś nie wątpię. Z jakąż radością oddałbym ostatni tytuł za odrobinę pierwszego! Poeta odczuwa — artysta odtwarza, oto cała różnica. A jak ona jest okropna — pojąć może tylko jednostka, która odczuwa wszystko, a nic nie odtwarza",

Im dalej zagłębiamy się w karty tomu II, tym częściej spotykamy się z autorem-artystą, nie tylko z czującym poetą. Odczuwający poeta patrzy, obserwuje, wzrusza się, wielbi, przeklina, kocha i nienawidzi, zachwyca i przejmuje obrzydzeniem — a artysta zaczyna wybierać, segregować, ustanawiać gatunek utworu, dobierać celne słowo i to, co dziś nazywamy — strukturami stylu. Wszystko — z zamiarem zastosowania w przyszłych opowiadaniach i powieściach (że powołaniem jego będzie powieść — pisał już w t. I Dzienników) .

Owe fragmenty prób artystycznych w samym Dzienniku (t. II) ukazują długą, powolną i ciężką robotę autora na drodze dojrzewania artystycznego. Teoretyczne sformułowania stanowią momenty uświadamiania sobie tej drogi. Nad całością promieniuje świadomość, iż powołanie artysty jest służbą społeczną na rzecz wydziedziczonych i wyzyskiwanych materialnie i moralnie.

Najczęściej spotykaną strukturą artystycznych fragmentów jeszcze w dalszym ciągu (tak jak w t. I). jest opis, ale opis ten tutaj różnicuje się szeroko i subtelnie [5]).

Coraz częściej spotykamy dalej portrety osób, niejako kandydatów na przyszłych bohaterów powieści (portret Retmańskiego z Szulmierza, portret Heleny). Portrety te są zupełnie odmienne od tych, z którymi spotykaliśmy się u starszego pokolenia pisarzy polskich tego czasu. Są zmysłowo-soczyste i drgające życiem, techniką światłocienia malowane, z domieszką pasji ironicznej.

Często również zawieramy znajomość z jakąś rzeczywistą postacią za pośrednictwem struktur dialogowych — i to stanowi największe novum w próbach artystycznych tego tomu w zestawieniu z poprzednim. Sceny dialogowe prezentują tu nieraz całą typową odrębność grup społecznych i ich konfliktów; szczególnie plastycznie pod względem artystycznym i jednocześnie ideowym, z całą ostrością jątrzącego problemu dziedzic — chłop występuje dialog między dziedzicem Szulmierza i chłopką Popławską.

Celność charakteryzacyjna tego dialogu ukazuje przyszły lwi pazur pisarza — „dobosza" spraw narodowych i społecznych.

Dialogi również różnicują się, rzadziej trafiają się informacyjne, coraz częściej konwersacyjne, dyskusje, dysputy — w strukturach urozmaiconych od niezawisłych poprzez przejściowe do interpolowanych, z funkcją, obok charakteryzacyjnej, dramatyczną.

I wielka jest rozmaitość tematyczna dialogów: polityczne, społeczne, literackie, erotyczne, obyczajowe, a zawsze ostro wykończone i obrazujące stanowisko autora, choć przedmiotowo wierne.

Co jakiś czas autor zwierza się ze swych poglądów, buduje koncepcje ideologiczne lub światopoglądowe, wtrącając je do opisów lub łącząc z dialogami. Niekiedy wplata całe rozprawy literacko-krytyczne lub socjologiczne między opisy i dialogi.

Wiemy, że będzie to znamienną cechą kompozycji pisarskich późniejszej twórczości („nieudane kompozycje", poskarżył się kiedyś z ironią).

Zamykając rozważania stwierdzamy, iż „Dzienniki" należy uznać za dzieło sztuki pisarskiej typu vie romancée, którego bohaterem jest sam autor. Kształt formalny dziennika okazał się tu najtrafniejszym wyborem gatunku literackiego umożliwiającego swobodną i luźną kompozycję prawdy o poecie, który kształtował w sobie artystę.

Feliks Araszkiewicz

---

[1]) Zaginęły zeszyty: IV, V, VII, VIII i X; ostatni dotyczy już pogranicza czasów kieleckich i warszawskich (od 18.8.86 do 18.11.86).

[2]) Stwierdził to najpierw St. Płotun-Noyszewski (1928), ale raczej przygodnie, bo nie znał tekstu Dzienników, potem W. Borowy (1950) w referacie na posiedzeniu Tow. Nauk. Warszawskiego, już na podstawie dokładnej znajomości rękopisów udostępnionych mu przez Bibliotekę Narodową w Warszawie, to samo wreszcie — w odniesieniu do całości (od r. 1882—1890) potwierdził A. Wasilewski, autor przedmowy do I tomu Dzienników. W podobny sposób ustosunkowuje się do Dzienników H. Markiewicz w swych studiach o Żeromskim (1954).

W. Borowy, St. Adamczewski i J. Kądziela przygotowali do druku rękopisy Dzienników, każdy w innym zakresie, ale wszyscy znali całość pozostałej spuścizny. Wasilewski i Markiewicz również mieli dostęp do rękopisów całości, ja opieram się wyłącznie na tekstach wydanych t. I w r. 1953 i t. II w r. 1954.

Inaczej się patrzy na całość dzieła, niż na jego fragmenty, a w danym wypadku, gdy chodzi o nieznajomość t. III, obejmującego lata 1888—1890, niezmiernie ważne dla poznania życia i twórczości Żeromskiego, jako lata startu ku wielkości, spojrzenie moje na t. II bez znajomości reszty dzienników trafia na trudności przy próbie rozważań syntetyzujących.

[3]) Pod względem ilustracyjnym tedy t. II wypadł znacznie słabiej, niż t. I; możliwe, iż w t. III zaplanowano wymienione wyżej kategorie ilustracji, chociaż można w to wątpić wiedząc, że w latach 1888—1890 Żeromski większą część czasu spędził w Sandomierskim, na wsi.

[4]) Na tym tle zaszło wiele nieporozumień między nim a niektórymi Ze'owcami i Głosowiczami, dlatego też słusznie stwierdził A. Wasilewski w przedmowie do t. I Dzienników, że: „Podobnie jak w sposób pełen nieporozumień, zrozumiałych jedynie w atmosferze chaosu programowego formującej się ideologii klasowej, kształtował się stosunek Żeromskiego do Ze'u — tak też jego postawę wobec Głosu do ostatnich kart pamiętnika cechowała nieufność" dodać tylko do tego potrzeba, że w tych latach nie zetknął się Żeromski bezpośrednio z organizacjami robotniczymi, które zresztą znajdowały się w rozbiciu po pogromie carskim I Proletariatu.

[5]) Prócz opisów przyrody, wmontowanych w treści psychiczne autora, z Kieleczczyzny i innych okolic wiejskich (Podlasie, Mazowsze, okolice podwarszawskie) przedstawiających obrazy ilustrowane w różnych porach roku, dnia i nocy, w różnym oświetleniu (impresjonistyczny światłocień), mamy opisy wnętrz miejskich i wiejskich siedzib człowieka, ilustrujące tego człowieka, przepojone jego psychiką (np. opis pokoju nadzorcy studenckich), opisy psychologizowane i socjologizowane (nawet opisy przyrodnicze) i — opisy wspomnienia, w których miesza się prawda z marzeniem na równi.

ZYGMUNT FALKOWSKI (JAN GÓRSKI)

Wiersze z cyklu „Raptularz"

Msza św. w kościółku wiejskim

Wieją śpiewy piewików z bliskiej łąki skoszonej.
Pełga ognik oliwny każdym wiewem płoszony.

W czarno-dębnym ołtarzu cztery świece się jarzą.
Słucha Jezus organów zadumany w ołtarzu.

Stoją głosy na chórze jak anioły w modrzewie
wyrzezane: to gęśle odzywają się w śpiewie,

to fujarki płakaniem na powietrzu się niosą
pod tę ciszę najświętszą chadzającą tu boso

Chadzającą tu boso od wieczora do rana,
gdzie Jezusik drewniany, Matka Boska drewniana.

Coraz niżej schylone czoło kamień napotka
wyklęczany na gładko przez pątników w tych schodkach.

Światło w oknach scedzone, zagęstniałe, zakrzepłe.
Zimne nogi twe, Jezu, ale łzy moje ciepłe.

Żona

W przejrzystym niebie łuna się różowi,
od lasu biegną rozległe ścierniska.
Znów spłynął jeden dzień ku wieczorowi
i gwiazda Wenus jak brylant rozbłyska.

Gdy w ciemnej sukni, rozsuwając cienie,
niby pływaczka granatowe fale,
stajesz w pobliżu nad moim milczeniem,
witając wejście twe, lampę zapalę.

Ze światłem lampy wzrok twój się upora
i spocznie czujnie na schylonych głowach.
Tak było zawsze: wczoraj i przedwczoraj.
Jak Wenus wchodzisz wciąż i jesteś nowa

Wezbrane latem słońce — do jesieni
steruje wiatrem obłoki rozdyma
dojrzałe w barwach i sady rumieni.
Odlotem ptaków zwiastuje się zima.

Zmierzch zbliży niebo, prawie do rąk poda
Wenus błyszczącą w niebiańskich ogrodach.

Emigrantom

Kiedy przebłyśnie — aż zadzwoni strzemię
konia — samochód, później kurz zatańczy:
to was zadziwi tożsamość tej ziemi,
gdzie kiedyś grzęzły tabory powstańcze.
Krwią opłacone — ciche krajobrazy,
z żyznego prochu wybujałe wzgórza,
wzniosłe kominy i dymy bez skazy,
na martwych cegłach dom jak żywa róża,
i roztopione gwiazdy w ogniach huty,
wyładowania błękitne i trzaski,
pełne jaskółek śpiewające druty.
Patos tej prawdy i tragedia maski.
Dywały gipsem zamulone usta
bardziej wymowne niż okrzyk retora.
Mogła być także Weroniki chusta
po tej Golgocie. Lecz czy na to pora?
Dym zagojonej już tutaj pożogi,
sypie się gorzki popiół zza chmur, przędziwa
złowieszczych lądów oplątują nogi.
Czas, co szturmuje, wam — tyle zdobywa.
Maski, tak wierne, wszelki kształt otulą
i przeminiony podadzą w odcisku.
I nie są bólem, ale maską bólu,
uludą prawdy. I to pewnie wszystko.
Kurtyna w górę: Talio, Melpomeno,
co nie jest życiem, może już być sceną.

PISARZY RADZIECKICH

O sytuacji we współczesnej poezji radzieckiej pisze Margerita Aliger w artykule pt. „Rozmowa z przyjaciółmi" („Znamia", VI, 1954 r.) stwierdzając m. in., że o ile w okresie Wielkiej Wojny Narodowej udawało się poetom radzieckim nadać słowu poetyckiemu celną moc — dzięki uświadomieniu sobie obrzymiej odpowiedzialności, jaką nakładała na nich epoka i historia, o tyle po wojnie osłabło to poczucie odpowiedzialności, chociaż zadania, jakie stoją przed narodem radzieckim i jego poezją, bynajmniej nie zmalały. W innym numerze „Znamia" K. Simonow precyzując zadania, stojące przed poezją, pisze:

„Poeta radziecki powinien dochodzić w poezji do słusznych rozstrzygnięć ideowych w najbardziej skomplikowanych sytuacjach; sercu czytelnika bliskie jest to, w jaki sposób poeta do tych rezultatów i rozwiązań doszedł. Trzeba więc by czytelnik wyczuwał sam bieg myśli, walkę duchową, która toczy się w duszy poety; trzeba, by rozstrzygnięcie — prawdziwe i wzniosłe, ludzkie — nie było podsuwane czytelnikowi już gotowe, lecz by rodziło się ono w jego oczach. Na tym — moim zdaniem, polega właśnie jedna z odrębnych właściwości konfliktu w liryce".

Jeśli chodzi o powieść, ogólnie rzecz biorąc, zarzuca się pisarzom zbyt luźne powiązanie z życiem narodu, a w konkluzji rażące wypaczanie zasad realizmu socjalistycznego. Pisarze albo „lakierują" rzeczywistość i popadają w beztroską bezkonfliktowość, albo dla odmiany dostrzegają wyłącznie zjawiska negatywne w otaczającej ich rzeczywistości. Tu trzeba wspomnieć, iż cytowany przed chwilą K. Simonow na łamach „Litieraturnoj Gaziety" wystąpił z ostrą, można nawet powiedzieć, druzgocącą krytyką nowej powieści I. Erenburga „Odwilż". Simonow stwierdza wręcz, iż utwór ten na tle całokształtu twórczości znakomitego pisarza jest przykrym nieporozumieniem, gdyż po prostu zniekształca radziecką rzeczywistość. Za obszernym, bo drukowanym w dwóch kolejnych numerach pisma, artykułem Simonowa posypały się wypowiedzi czytelników, którzy w licznej większości atakują lubianego na ogół pisarza. I tak np. W. Kuźmin z Gorkiego pisze: „Jedna z bohaterek powieści, Sonia, kiedyś powiedziała: „Książka powinna wychowywać a nie dezorientować. Niestety, powieść I. Erenburga nie wychowuje". A inny czytelnik (F. Jakowlew) nazywa tę powieść: „Odwilż bez właściwej temperatury".

W ogniu przedzjazdowej dyskusji znalazła się także — silnie akcentowana — sprawa partyjności literatury. „Gdy mówimy o partyjności naszej literatury — czytamy w artykule A. S u r k o w a („Oktiabr" Nr 7) — nie mamy na myśli, że pisarz powinien mieć legitymację partyjną w kieszeni. Mówimy, że nasza literatura radziecka jest obecnie partyjna dlatego, że przygniatająca większość pisarzy radzieckich wszystkich narodów ZSRR patrzy na życie i na swoje miejsce w życiu z tego samego punktu widzenia, z jakiego patrzą na to komuniści... Interesy narodu są nierozerwalne z interesami partii, a cele partii są nierozłączne, bo uwarunkowane interesami całego narodu. Siłą naszej literatury jest ścisłe powiązanie z interesami narodu, z interesami socjalistycznej ojczyzny".

„Partyjność w sztuce — czytamy w czasopiśmie „Kommunist" — to walka o prawdziwe przedstawianie życia w jego rewolucyjnym rozwoju, to walka o nowego człowieka. Nasz pisarz radziecki powinien być pisarzem — myślicielem, pisarzem — filozofem, wojującym bojownikiem o interesy narodu."

Z zagadnieniem partyjności wiąże się w literaturze bardzo szeroko dyskutowany problem bohatera pozytywnego.

Krytyka stwierdza, że mimo poważnych niedociągnięć współczesnej literatury w odtwarzaniu przekonywających i mobilizujących czytelnika postaci dodatnich, pozytywny bohater był i nadal pozostanie centralnym bohaterem literatury radzieckiej. Jasność rysunku i siła oddziaływania na czytelnika w przedstawianiu tego typu postaci zależy nie tylko od talentu autora, ale od należytego zrozumienia postawionych mu przez epokę zadań, od stopnia jego przygotowania ideowego jako — „inżyniera dusz ludzkich".

NIE sądzę, aby można było pokusić się o całkowite, wszechstronne omówienie ogromnego i złożonego materiału przedzjazdowego z dyskusji o literaturze radzieckiej. Chodziło po prostu o zorientowanie czytelnika w charakterze tej dyskusji, naszkicowanie niektórych być może najważniejszych problemów, wysuniętych przez poszczególnych jej uczestników. Kiedy się czyta w czasopismach radzieckich różne artykuły, wypowiedzi pisarzy i listy czytelników, odpowiedzi poszczególnych przedstawicieli społeczeństwa radzieckiego na ankiety przedzjazdowe (np. na ankietę „Litieraturnoj Gaziety" pn.: „Czego oczekujemy od zjazdu?") — nasuwa się pewien ogólny wniosek, nawet niezwiązany z meritum dyskusji, tzn. z samym dążeniem do ideowo-artystycznego podniesienia twórczości literackiej. Bo koniec końców, dla całokształtu życia narodów Związku Radzieckiego nie jest kluczowym zagadnieniem fakt, że Erenburgowi nie udała się jego ostatnia powieść, albo że „Pory roku" Panowej trącą drobnomieszczańskim romansem, czy wreszcie to, że utalentowany skądinąd poeta B. Pasternak wystąpił z tomikiem „ponadczasowych" bryków. Zdawałoby się, że te potknięcia pisarzy czy poetów poza potępieniem miarodajnej krytyki nie wywołają głębszego echa. Tymczasem, cóż się dzieje? Istotnie, są one przedmiotem krytyki, jednak nie tylko ze strony koryfeuszy literatury, lecz, można śmiało powiedzieć, krytyki ogólnonarodowej. Oto np. powieść Erenburga, jego polemika z Simonowem wywołała powódź listów do redakcji „Litieraturnoj Geziety". Piszą nauczyciele, tokarze, pracownicy kołchozów, mechanicy, wojskowi itd. Jedni przyznają rację Simonowi, inni bronią Erenburga, jeszcze inni wykazują w powieści błędy, których nawet Simonow nie dostrzegł. Polemika jest ożywiona i zażarta. To samo da się zauważyć i w wielu innych wypadkach. Zawsze uderza masowość i żarliwość wypowiedzi. Tu nie chodzi już nawet o to, że ogół obywateli radzieckich interesuje się każdą nową książką swych twórców, bo o tym już dawno wiadomo. Tu chodzi o coś więcej. O to, że troska o dobrą książkę jest w Związku Radzieckim nie tylko troską czynników powołanych do kierowania polityką kulturalną, ale troską ogółu obywateli.

Tak więc materiały z ogólnonarodowej dyskusji przed II Wszechzwiązkowym Zjazdem Pisarzy Radzieckich nie tylko dają wszechstronny i wyczerpujący obraz sytuacji we współczesnej literaturze ZSRR, ale również są jeszcze jednym przejawem jak najbardziej czynnego i żywego udziału szerokich mas ludzi radzieckich w kształtowaniu coraz wyższych form socjalistycznej kultury.

Henryk Kmita

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

O TEATR LUDZKICH KONFLIKTÓW

(rozmowa z Januszem Warmińskim)

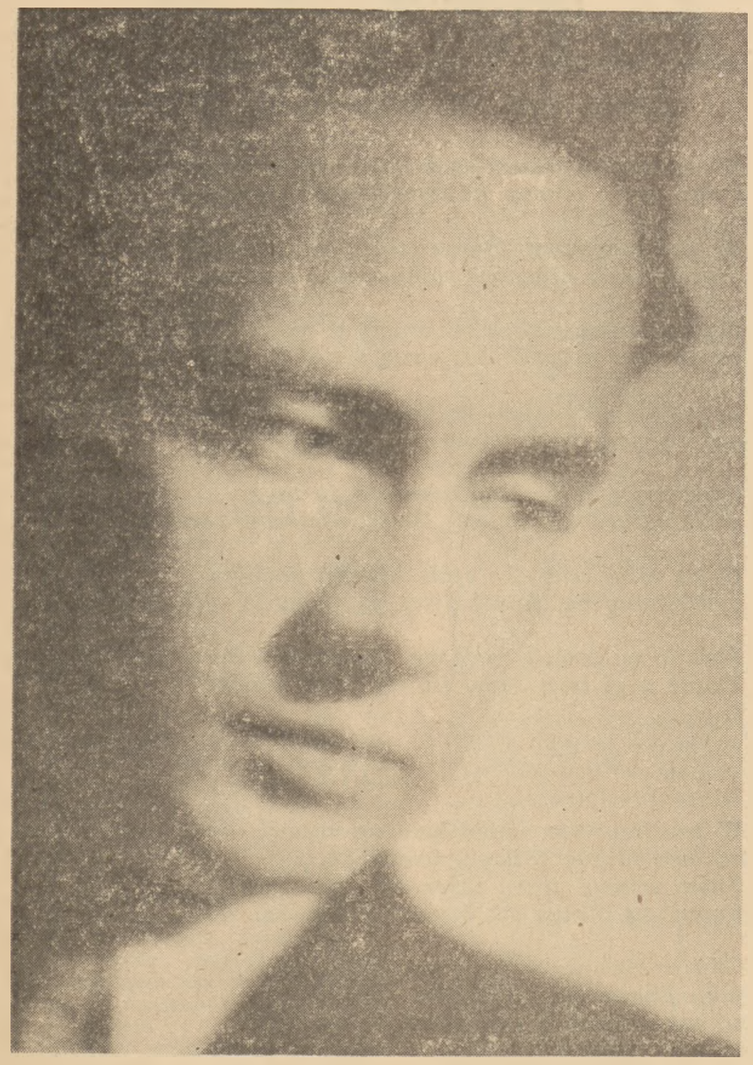

Janusz Warmiński

Pozory mylą i rozczarowania bywają przyjemne — banalność tych twierdzeń nie przysłania ich oczywistej, praktycznej sprawdzalności Doświadczyłem tego po rozmowie z wybitnym reżyserem i znanym dramaturgiem, kierownikiem artystycznym Teatru im. Stefana Jaracza w Warszawie, Januszem Warmińskim. Gdzie jednak „mylące pozory" i gdzie „przyjemne rozczarowanie"? Po prostu, wychodząc z założenia, że kto napisał dwie sztuki o tematyce wiejskiej, przy obecnym unikaniu tej tematyki przez ogół dramaturgów, ten musi głęboko, z sercem i duszą w tej tematyce siedzieć. Stąd nieodległy wniosek, że znaczna część naszej rozmowy dotyczyć będzie właśnie problemu sztuk „wiejskich", ich specyfiki, ważności itp.

Naiwność moja (a wiemy, że naiwność będąca urokiem dzieciństwa staje się później zabytkiem nieco uciążliwym) otrzymała porządnego kuksańca, bo okazuje się, że dyr. Janusz Warmiński z tematyką wiejską zetknął się dość przypadkowo i pozostał jej poprzez dwie napisane przez siebie sztuki sceniczne wierny, nie z powodu specjalnego zainteresowania się czy wrośnięcia w sprawy wsi (choć jak obydwie sztuki świadczą, zna współczesność wsi polskiej doskonale), lecz dzięki temu, że teren wsi stał się świetnym tłem dla wyrażenia spraw... ale o tym już powie nasz Rozmówca.

— Dlaczego tematem mojej sztuki — mówi dyr. Warmiński — myślę o pierwszej mojej sztuce — o „Zwycięstwie", były sprawy wiejskie. Doceniając ważność i aktualność problematyki wiejskiej, muszę jednak powiedzieć, że wybór tematu był w pewnym stopniu dziełem przypadku. Zainteresowały mnie losy kobiety, która umie w swojej wsi walczyć o sprawiedliwość społeczną. Po napisaniu sztuki kontaktowałem się z bohaterką i jej otoczeniem, na skutek tego kontaktu skonkretyzowały się „Chwasty".

Z zasadniczym problemem nowej mojej sztuki nosiłem się już od dawna, jeszcze zanim zacząłem pisać „Zwycięstwo". Chciałem poruszyć zagadnienie przekraczające ramy spraw wyłącznie wiejskich. Doszedłem do wniosku, że wielu ludzi nie rozróżnia sprawy stosunku do Partii i sprawy stosunku do członków Partii. A przecież Partia nie jest jeszcze zwartym szeregiem. Należy do niej jeszcze wielu ludzi, którzy swoim postępowaniem czynią krzywdę idei, o którą Partia walczy.

Zetknięcie się z faktami, które zadecydowały o kształcie dramaturgicznym „Zwycięstwa" utwierdziło mnie w przekonaniu, że w tych sprawach powinno się mówić o teatrze, że teatr musi walczyć o właściwe widzenie tych spraw.

Poza tym co mówiłem chodziło mi o ujawnienie zasadniczego konfliktu, jaki toczy się wokół Anny, konfliktu, który ukazuje dążność wrogów naszego ustroju, do utrącania człowieka, który nowe życie buduje, który dźwiga na sobie współczesność. A te zjawiska przecież nie ograniczają się wyłącznie do terenu wsi, są żywotne i na terenie miejskim. Lecz na wsi występują one najjaskrawiej, dlatego akcja „Chwastów" tam się dzieje.

— O ile wiem, „Chwasty" spotkały się z dużym zainteresowaniem odbiorców, nie mówiąc już o krytykach i tzw. ludziach teatru.

— Owszem, sztuka była żywo omawiana podczas publicznej dyskusji nad tą sztuką. Wysuwano zresztą i zastrzeżenia odnoszące się do koncepcji i realizacji scenicznej postaci sekretarza KG Jaworskiego i częściowo Wiśniewskiego.

„Chwasty" nie są materiałem specjalnie trudnym dla zespołów amatorskich, choć istnieją dla nich niebezpieczeństwa mieszczące się w samym materiale dramaturgicznym. Obecnie, w dużej mierze wskutek dyskusji nad sztuką przepracowuję ją. Mam szczególnie zamiar dokonać zmian w postaci Jaworskiego.

— Dość aktualną sprawą jest problem współpracy autora z teatrem. Pan będąc reżyserem i dramaturgiem jednocześnie, może szczególnie wiele o tym powiedzieć.

— Niektórzy uważają, że tych dwu funkcji nie należy łączyć. Jestem przeciwnego zdania. Uważam, że błędy istniejące w mojej ostatniej sztuce nie wynikają z połączenia tych dwu funkcji. Mnie osobiście ułatwia to pracę. Znając bezpośrednio ideę sztuki, psychologię bohaterów, łatwiej jest reżyserowi wydobyć a nie tylko przedstawić całą prawdę ludzkiej postaci. Należy również pamiętać, że teatr musi wzruszyć widza wielką prawdą ludzką, którą mu niesie, a nie tylko epatować gierkami.

Troską reżysera musi być danie widzowi żywej, przekonywającej, psychologicznie uzasadnionej, postaci. Idea sztuki musi dotrzeć do widza nie przez komentarz lecz przez samą interpretację, grę aktorów.

— Bardzo zasadnicze dla pracy teatru problemy, o których Pan Dyrektor przed chwilą mówił, dotyczą każdej sceny. Czy można prosić o parę słów na temat pracy zespołu, który Pan prowadzi i metody tej pracy?

— Przede wszystkim ustalamy ideę sztuki, wspólnie szukając najtrafniejszej z różnych możliwości realizacji tej idei. Ponieważ ideę sztuki przekazuje się widzowi poprzez działanie postaci scenicznej, zaczyna się długa praca nad ustaleniem celowego i logicznego działania danej postaci. Opieram się przy tym na specyfice twórczości danego aktora, aby postać, którą odtwarza na scenie, czuł aktor w sobie.

Wychodząc przy opracowywaniu postaci scenicznej od siebie, od swoich dyspozycji psychicznych i fizycznych, może aktor najpewniej obrać właściwy sposób realizacji roli. Badamy również ściśle problemy, wokoło których dana postać sceniczna się obraca, badamy jak w konkretnych okolicznościach zachowywać się powinny postacie sztuki i jak zachowywałby się aktor.

Walczymy, doceniając oczywiście znaczenie słowa w teatrze, o poprawność mowy scenicznej, zwalczając tzw. „terkot", deklamację. Staramy się zwracać uwagę na to, że przecież słowo ma nie tylko dotrzeć do widza, ale oddziaływać na niego.

— Mówił Pan o pracy reżysera i inscenizatora, czy moglibyśmy jeszcze usłyszeć parę uwag na temat wzajemnego stosunku tych dwu podstawowych obok autora „filarów" każdej sceny?

— Reżyser stara się inspirować aktora, rozwijać jego inwencję twórczą a nie tylko ustawiać go i posługiwać się nim. Reżyser wypowiada się przez aktora, ale wspólna praca i kontrola nad właściwą interpretacją roli, odpowiednim rozwiązaniem zadań scenicznych wpływa na ostateczny wygląd utworu scenicznego.

Jeśli chodzi o inscenizację to zakładamy postulat skromności inscenizatora, niewysuwania inscenizacji ale postaci aktora i poprzez to idei sztuki. Inscenizacja nie może oprzeć się na poszukiwaniu efektów ubocznych.

— Praca kierowanego przez Pana zespołu opiera się więc na wskazaniach systemu Stanisławskiego. Uważny widz, mam wrażenie, może to dostrzec.

— Oczywiście opieramy się na metodzie Stanisławskiego, nie traktujemy jednak tej metody jako jakiegoś martwego kanonu. Teatr nasz nastawia się na wychowanie nowego typu aktora, a ma podstawy do podjęcia zadań wychowawczych, bo połowa naszego zespołu to aktorzy młodzi. Oczywiście praca taka musi być długofalowa i rezultaty początkowo muszą być słabo dostrzegalne.

— Teatr Jaracza posiada zapewne określoną koncepcję repertuarową, określoną choćby przez charakter sceny?

— Tak, mamy wyraźną koncepcję naszego teatru, choć nie zawsze udaje się nam ją konsekwentnie realizować. Zasadniczo dążymy, by stworzyć teatr ideowy, który chce widzieć w konfliktach ideowych — konflikty ludzkie. Pragniemy stworzyć teatr prawdziwych ludzkich przeżyć i namiętności, teatr głęboko wchodzący w życie i wyrażający je. Repertuar nasz jest na ogół typu kameralnego. Trudności techniczne, mała scena nie pozwala nam na widowiskowość naszych przedstawień. Uważam jednak, że typ repertuaru kameralnego odpowiada naszym założeniom. Opieramy się przede wszystkim na sztukach współczesnych, dobieramy sztuki ukazujące mocne konflikty nurtujące człowieka, ale jednocześnie sztuki o silnym zabarwieniu ideowym. Współpracujemy przeważnie z młodymi pisarzami. Nie chodzi nam o współpracę z każdym dramaturgiem, ale z tymi, którzy z naszym teatrem czują się związani. Jeśli nawzajem sobie odpowadamy, współpracę tę podtrzymujemy.

— Mówiliśmy o kontaktach z widzem, o tym, że dyskusje z nim dają wiele materiału do przemyśleń dla autora i reżysera. Podobne zadanie ma do spełnienia również i krytyka teatralna...

— Niestety, w tej chwili krytyka teatralna nie wiele nam poza uczuciem rozgoryczenia daje. Krytycy nie dostrzegają pracy, która toczy się w naszym teatrze, nie zawsze, moim zdaniem, umieją zachować odpowiednie proporcje i właściwą formę w krytyce.

Ale oczywiście nie są to sprawy, które by miały zahamować naszą pracę, choć ją utrudniają...

Rozmowa z dyr. Warmińskim a przede wszystkim skonfrontowanie tej rozmowy z doznaniami widza z Teatru im. Stefana Jaracza, pozwoliło mi dostrzec to, czego niestety, wielu recenzentów nie dostrzega, a co w teatrze, o którym mowa, jest najcenniejsze. Pasję przekazania widzowi najlepiej, najcelniej artystycznie i najprawdziwiej prawdy utworu, porwania go prawdą gry aktorskiej i ukazania prawdy współczesności, którą oddać może najpełniej sztuka sceniczna. I to było dla mnie nowym, miłym rozczarowaniem, po pierwszym zawodzie dzisiejszej rozmowy. A może czymś więcej niż miłym rozczarowaniem?

STEFAN KOBIERZYCKI

Tylko dla Marcina

NIECH co kto chce mówi—moda jest rzeczą irytującą Zwłaszcza moda literacka. Nawet skoro jej rezultaty są niebrzydkie.

Ostatnio modna stała się Warszawa. Bywa tematem szkiców historyczno-obyczajowych, pożywką felietonów, główną bohaterką wspomnień osobistych. Odbudowa i przebudowa miasta sprawiają, że warto przypomnieć to i owo z jego zamierzchłej przeszłości, że trzeba, by pióro pisarza pomogło utrwalić obraz stolicy sprzed lat kilkunastu lub kilkudziesięciu — tej stolicy niby niedawnej a przecież niezmiernie odległej.

Rzecz zrozumiała, tendencje najzupełniej słuszne. I nie tu zło się poczyna. Wszyscy bardzo owe lektury lubimy. Powodzenie książki Karoliny Beylin nie ulega wątpliwości; wszelkie varsaviana mogą liczyć na poczytność. Wiedzą o tym wydawnictwa, pamiętają redakcje czasopism. Przedsiębiorczy — jak zwykle — „Przekrój" wymógł nieco wspomnień na samej Marii Dąbrowskiej; pisuje o Warszawie swojej młodości Paweł Hertz i zapowiada, że zrobi z tego tomik; podobno to samo zamyśla Antoni Słonimski. Cierpliwie poczekawszy ujrzymy zapewne i „Pamiętniki" Janusza Minkiewicza, wygrzebane z „Nowin Literackich". Jak moda, to moda...

Otóż właśnie. Zjawisko niegroźne a nawet sympatyczne zaczyna niepokoić, gdy tylko stanie się modne. Tępieje wówczas nasz krytycyzm, stajemy się nazbyt pobłażliwi: łatwo ulegamy złudzeniu, że wszystko, co jest „na czasie" — jest dobre. Przytrafiło się to niedawno Państwowemu Instytutowi Wydawniczemu i wynikła szkoda niemała.

Autobiograficzne zapiski o Warszawie pierwszy bodaj po wojnie (a ściślej — wkrótce po upadku Powstania) rozpoczął Jerzy Andrzejewski. Prosto i pięknie tłumaczy autor genezę i cel projektowanej wówczas książeczki. Rozumiem też poniekąd jego tłumaczenie, dlaczego później zarzucił swą pracę, nie dopisał brakujących rozdziałów i przypuszcza, że w swoim zamyśle pierwotnym nigdy już ta książka ukończona nie będzie. Namawiano go, by kontynuował; pisarz nie chciał być nieuczciwy wobec samego siebie i odmówił Ale — uległ wydawnictwu. Tak, w świetle przedmowy, rekonstruuję fakt ukazania się „Książki dla Marcina").*

Przedmowa sporo wyjaśnia, niewiele wszakże pomaga. Trzy miluśkie szkice zebrane pod wspólną okładką zaledwie udają prawo do sąsiadowania. Ogromna luka między „Warszawą najdawniejszych wspomnień" i „Szkołą", a „Bielanami" jest tak rażąca, że z wielką biedą poszukuje się odpowiedzi na pytanie, czym właściwie jest ta książka.

Najpewniej — pamiętnikiem. Ten gatunek piśmiennictwa umyka spod reguł poetyki, należy do pogranicza literatury — ważny dla niej o tyle, o ile reprezentuje dobrą sztukę pisania. Klarowna proza Andrzejewskiego z pewnością warunek ów spełnia. Lecz i pamiętnik rządzi się swoimi prawami. Swobodny całkiem dowolny tok narracji sprawia, że wartość przekazu mierzy się (chyba jeszcze bardziej niż gdziekolwiek indziej) wartością tego, co pamiętnikarz miał do powiedzenia.

„Książka dla Marcina" będzie cenną pamiątką dla Marcina, w przyszłości — dokumentem nie bez pewnego znaczenia dla biografów Andrzejewskiego. Wyznaję zawód: spodziewałem się, że adres zawarty w tytule mimo wszystko nie jest aż tak osobisty; sądziłem, że jest w większym stopniu uogólnieniem. A wzgląd na biografów? — Nieskończenie silniej interesuje nas rozwój twórczości autora „Nocy", czekamy na jego nowe książki — oby jak najdłużej biografowie musieli zwlekać ze swą pracą, nim ją będą mogli ostatecznie zamknąć. Wtedy niechby sięgnęli do rękopisu „Książki dla Marcina".

Nikłość danych o charakterze dokumentarnym wynika u Andrzejewskiego stąd, że sprawy, o których chętnie byśmy poczytali, zostały pominięte. Wspomnienia z czasów szkolnych są — bo muszą być i uboższe, i jakoś niepełne w stosunku do tego, co mógłby nam Andrzejewski opowiedzieć o sobie. Słowem — brak nam w tych wspomnieniach części najistotniejszej.

Nie została napisana. To prawda. Pretensje bezpodstawne. Czyżby? — Popróbuję obrony. Przywołam na świadków mego żalu książki pokrewne ostatniej Andrzejewskiego. Wspomnienia Boya, Estreichera i Kadena, Makuszyńskiego, Parandowskiego i Wasylewskiego... Kraków i Lwów miały tu wiele szczęścia, była sposobność przysporzyć i Warszawie jedną z takich uroczych książek grzechów dzieciństwa lub cienia zapomnianej olszyny. Sposobność ta została, jeśli nie zmarnowana, to w każdym razie wykorzystana niedostatecznie. Moda wydawnicza zaprzepaściła Andrzejewskiemu pierwszorzędne tworzywo literackie.

Jest i w obecnej książce Andrzejewskiego niejedna kartka, przy której zatrzymujemy się na dłużej. Myślę tu o refleksjach dojrzałego pisarza wywoływanych spisywaniem wspomnień. Zastanawiają i głęboko trafiają do nas rozważania o nieznajomości własnych rodziców i o potrzebie przyznawania się do uczucia miłości; o zbieżności praw, które kształtują treść wspomnień i tych, które rządzą pragnieniami; o dobrych stronach ograniczoności naszej wyobraźni; o przywiązaniu do pamiątek i złych skłonnościach, by tylko pogardzać przeszłością. A już najmocniej przekonuje te kilka stron pochwały pisarskiej cnoty wątpienia.

Zdecydowałem się na swego rodzaju rejestrację, chociaż wiem, jak banalne jest takie wyliczanie, jak bardzo krzywdzi książkę wyrywanie z jej kontekstu rzetelnych myśli. Upraszczając — chcę tym dobitniej powiedzieć: mogliśmy dostać książkę z prawdziwego zdarzenia.

Więc zostaję przy swoim. Moda — kapryśna i nietrwała, żądająca by jej dogadzać zaraz, natychmiast, nim przeminie — moda jest rzeczą irytującą, zwłaszcza w literaturze. Jeśli bowiem pokusom jej nie potrafią się niekiedy oprzeć wybitni nawet pisarze...

Stefan Kobierzycki

* Jerzy Andrzejewski: „Książka dla Marcina", PIW 1954, s. 106.

Niemiecki plakat chopinowski

W kołach muzycznych całego świata trwają już przygotowania do V Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego, który odbędzie się w Warszawie w pierwszych miesiącach wiosennych nadchodzącego roku. Podobnie jak i w ubiegłych latach zgromadzi on i tym razem najlepszych wykonawców dzieł Chopina. Impreza ta znajduje żywy oddźwięk także w środowiskach plastycznych. I tak np. w Niemczech zachodnich ogłoszono ostatnio wyniki rozpisanego wśród tamtejszych plastyków konkursu na plakat chopinowski, mającego zasygnalizować Konkurs Chopinowski młodym pianistom niemieckim.

Konkurs rozpisało Niemieckie Towarzystwo Wymiany Kulturalnej i Gospodarczej z Polską. Warto wspomnieć, że Towarzystwo to zainicjowało już w ostatnich latach szereg imprez kulturalnych: np. w wielu miastach zachodnio - niemieckich odbyły się wystawy polskiego plakatu i grafiki książkowej.

Dość trudne warunki i program konkursu nie odstraszyły grafików. Nadesłano nań przeszło 230 prac, które w olbrzymiej większości świadczyły o poważnym i rzetelnym podejściu grafików do tematu konkursowego. Sprawiło to niemało kłopotu członkom jury, które miało wydać obiektywną ocenę otrzymanych prac. W pierwszym czytaniu odrzucono ponad 130 prac, w drugim — 59, w trzecim — zredukowano pozostałe o 23 projekty i przystąpiono do oceny najlepszych spośród pozostałych plakatów.

Pierwszą nagrodę przyznano jednogłośnie Jürgensowi Kelling. Plakat jego, słusznie wyróżniony, zdaje się najbardziej odpowiadać klimatowi muzycznemu twórczości chopinowskiej i wymogom grafiki plakatowej. W swej atmosferze plakat ten przypomina nieco znany plakat chopinowski Henryka Tomaszewskiego sprzed kilku laty.

Drugą nagrodę otrzymał Hans Schweiss. Jest to praca, którą cechuje bardzo odważne podejście do tematu. W nieskomplikowanym układzie form i plam jest pracą bardzo „plakatową", ale nam trochę obcą Sądzę, że gdyby zmienić treść napisu, plakat ten z powodzeniem mógłby służyć każdemu innemu konkursowi muzycznemu.

Trzecią nagrodą wyróżniono zespół autorski Asty Ruth i Heinricha Tewesa. Z błękitnego tła „prześwieca" jasny portret Chopina z lekka przysłonięty po prawej pionowym pasmem klawiatury i u góry dobrze zestrojonym z rysunkiem plakatu, krojem pisma napisu.

Nagrodzone i wyróżnione prace wystawiło wspomniane wyżej Towarzystwo na wystawie w Dusseldorfie, którą połączono z występami młodych chopinistów niemieckich. Pochlebną ocenę i 11 reprodukcji spośród najlepszych plakatów zamieścił także w sierpniowym numerze „Gebrauchsgraphik" — organ Związku Grafików Niemieckich.

j. w. b.

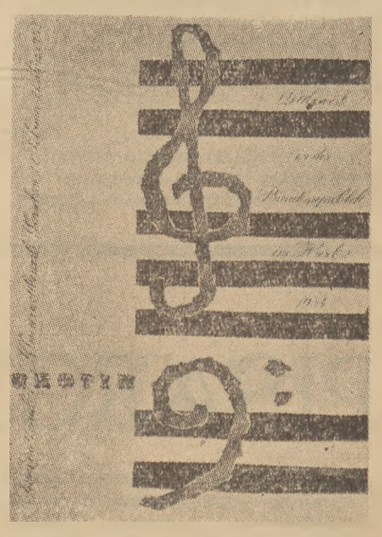

Wyróżnienie — Manfred Malzacher.

I nagroda — Jürgen Kelling.

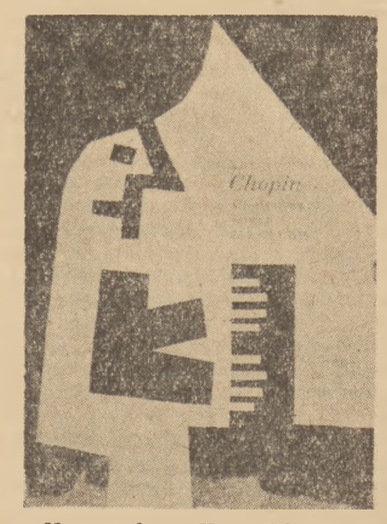

II nagroda — Hans Schweiss.

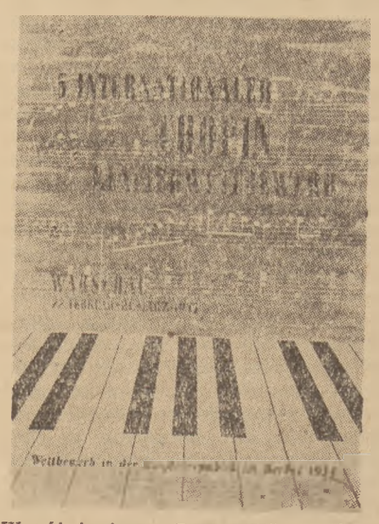

Wyróżnienie — Bruno Kämmerling.

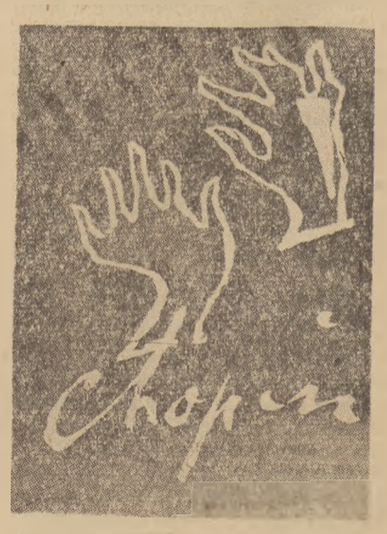

Wyróżnienie — Franz Kliebhahn

WAGNER SIBELIUS KODALY

JEŻELI program poprzedniego koncertu symfonicznego obejmował dzieła dobrze znane i często u nas grywane, to przeciwnie, na program koncertu w dniu 22.X br. złożyły się pozycje umieszczane rzadko, lub w ogóle nie wykonywane w ostatnich czasach na naszych estradach.

Dzieła sceniczne Ryszarda Wagnera, wielkiego reformatora opery, piętrzą przed wykonawcami poważne trudności, wymagają też ogromnego nakładu środków technicznych. Nic zatem dziwnego, że żadna z naszych scen operowych walczących jeszcze z szeregiem trudności, nie zaryzykowała dotąd wystawienia którejś z oper Wagnera. Jednak i nasze placówki symfoniczne podobnie jak Polskie Radio w programach swych przyznają mistrzowi z Bayreuth miejsce nadzwyczaj skromne wobec pozycji, jaką zajmuje on w historii muzyki, czego nie można już uzasadniać trudnościami materialnej czy technicznej natury. Toteż wykonanie — i to dobre wykonanie — Wstępu do opery „Lohengrin" Wagnera przez orkiestrę Warszawskiej Filharmonii pod batutą Witolda Krzemieńskiego powitać należy z pełnym uznaniem. Więcej jeszcze radości sprawi zapewne miłośnikom muzyki nieoficjalna narazie zapowiedź wystawienia w niedalekiej przyszłości całego „Lohengrina" przez zespół Opery Warszawskiej pod dyrekcją Waleriana Bierdiajewa.

Koncert skrzypcowy Jana Sibeliusa wykonany był w Warszawskiej Filharmonii po raz pierwszy od czasu ostatniej wojny. Mimo dość wyraźnego wpływu wielkich mistrzów techniki skrzypcowej — Paganiniego i Wieniawskiego, posiada on wiele oryginalności zwłaszcza w części drugiej i trzeciej opartej na motywach fińskiej pieśni ludowej, daje też soliście szerokie możliwości wirtuozowskiego popisu, o ile naturalnie solista ów rozporządza dostatecznie dużą techniką. W stosunku do rodaczki Sibeliusa, Anji Ignatius zastrzeżenie to jest zbędne. Najtrudniejsze fragmenty Koncertu pokonywała ona z całkowitą swobodą i lekkością. Jeżeli dodamy do tego piękny, choć niezbyt duży dźwięk oraz subtelność interpretacji, otrzymamy obraz wysokiego poziomu artystycznego.

Suita Zoltana Kodaly „Hary Janos" była w programie piątkowego koncertu jedynym utworem, który bywalcy Warszawskiej Filharmonii mieli już możność słyszeć w latach poprzednich.

Pozostało w pamięci słuchaczy szczególnie doskonałe wykonanie tego utworu na początku ubiegłego sezonu pod batutą węgierskiego dyrygenta Janosa Ferencsika. W zestawieniu z tamtym świetnym wykonaniem niektóre części suity „Hary Janos" wypadły w ujęciu Krzemieńskiego nieco blado, zwłaszcza pełne temperamentu i tanecznego rozmachu intermezzo odpowiadające charakterem szybkiej części węgierskiego czardasza. Całość jednak stała na dobrym poziomie.

Jerzy Wojciechowski

WACŁAW GLUTH-NOWOWIEJSKI

Artykuł dyskusyjny

MUZYKA BEZ ODBIORCÓW

Przed zbliżającym się Festiwalem Muzyki Polskiej, w okresie szeregu prawykonań nowych utworów muzycznych, chciałbym przedstawić czytelnikom pewne spostrzeżenia dotyczące współczesnej muzyki polskiej, wynikłe z własnej obserwacji jak i z wypowiedzi różnych poziomem i dojrzałością muzyczną słuchaczów.

Tematem tych spostrzeżeń jest konflikt jaki zaistniał pomiędzy twórcami naszej współczesnej muzyki a rzeszą odbiorców spełniających wobec tej muzyki rolę cenzorów i krytyków.

Powojenna droga twórcza kompozytorów polskich nie pozbawiona była eksperymentów, przeciwieństw i walki. Od kompozycji będących odbiciem idei bezfunkcyjności sztuki, powrotu do tradycji dziewiętnastowiecza i rozwiązań muzycznie jest jednak zagadnienie upowszechniania kultury. Mimo szeregu proszących się o poruszenie bolączek, mimo statystyki wytykającej niezaspokojenie potrzeb rynku muzycznego i wypływające stąd trudności repertuarowe tysięcy zespołów amatorskich — sprawa twórczości popularnej i świetlicowej pozostanie w tych rozważaniach na uboczu ustępując miejsca muzyce symfonii, oper i kwartetów. Wokół tej wielkiej twórczości narasta bowiem od lat konflikt znajdujący odzwierciedlenie w niechęci bywalców koncertowych do współczesnych kompozycji naszych muzyków, w niepokojącym wprost lekceważeniu ich twórczych wysiłków.

Objawów tej niepopularności nie trzeba szukać daleko. Mówi o niej frekwencja na koncertach nowej muzyki, uwaga z jaką się słucha

Rys. Gabriel Rechowicz

nych okresu Młodej Polski, przez próby wyrażenia dźwiękiem treści otaczających nas przemian, aż po symfonie chłopskie — twórczość muzyczna przeżywała i przeżywa trudne czasy poszukiwań właściwego epoce języka i formy. Poszukiwania te nabrały jeszcze większego znaczenia kiedy obok znawcy biegłego w sztuce pojmowania muzyki profesjonalnej, obok słuchacza dojrzałego do jej konsumpcji — wyrosła rzesza ludzi odczuwających już potrzebę muzyki, lecz ograniczających ją do lekko płynącej melodii, utworu tanecznego czy pieśni.

W tym stanie rzeczy przed autorami dzieł muzycznych stanęły dodatkowe zadania obsłużenia tej grupy odbiorców kompozycjami łatwo przez nich przyjmowanymi, a wpływającymi na podniesienie ich poziomu. Tematem tego artykułu tej muzyki, komentarze pokoncertowe ograniczono zwykle do machnięcia ręką i kwaśnie wypowiedzianego: „ech...". Ilu bywalców Filharmonii odnalazłszy w programie umieszczonym na plakatach współczesny utwór polskiego kompozytora rezygnuje z pójścia na koncert, lub odstępuje komuś bilet! Ilu słucha tego utworu z miną znudzoną, proszącą o szybkie jego zakończenie! Zdarzają się też sytuacje wywołujące u osób patrzących na nie z boku rumieńce wstydu.

Niechęć do nowej muzyki jest tym więcej mówiąca, że wypływa z kręgu stałych bywalców Filharmonii, ludzi uprawiających muzykę zawodowo lub amatorsko, a w każdym razie rozumiejących w większości jej język. Jakże w tym stanie rzeczy można wymagać, by muzyka ta była przyjmowana przez odbiorcę nieosłuchanego, mało jeszcze biegłego w muzycznej literaturze? Sama forma niektórych utworów niweczy zresztą możliwości wykonania ich w warunkach bardziej od stołecznej sceny prymitywnych. Trudno wyobrazić sobie na przykład objęcie programem koncertu w Rypinie wspomnianej już Symfonii Pieśni — Serockiego wymagającej pełnej orkiestry symfonicznej oraz wieloosobowych chórów. Symfonia ta choć nosi nazwę „chłopskiej" i przemawia tekstem gwarowym i tak nie zostałaby prawdopodobnie przyjęta przez słuchacza wiejskiego, któremu nowoczesne środki muzycznego wyrazu są jeszcze bardzo obce.

Jeżeli bowiem filharmonie chcąc spopularyzować współczesną muzykę polską i wypełnić roczne plany repertuarowe muszą uciekać się do przemycania tej muzyki między dziełami wielkich klasyków oraz kompozycjami cieszącymi się ogólnym uznaniem. Ośrodki prowincjonalne nie myślą nawet o takich próbach wiedząc, że podobny eksperyment skończy się fiaskiem artystycznym i kasowym. Podsumowując powyższe spostrzeżenia dochodzimy z kolei do przykrytych wniosków, charakteryzujących paradoksalną wprost sytuację w dziedzinie naszej muzyki. Okazuje się, że w okresie tak istotnych przeobrażeń kulturalnych, pobudzenia do udziału w życiu muzycznym warstw najmniej dojrzałych muzycznie, w okresie powstawania tysięcy zespołów amatorskich i dziesiątek szkół muzycznych — właśnie dziś dla muzyki współczesnej zabrakło słuchacza. Okazuje się, że słuchaczem tym, nie może, lub nie chce zostać ani odbiorca rozpoczynający dopiero drogę do matury muzycznej, ani praktyk dobrze już z mową muzyczną zaznajomiony.

Paradoks omawianej sytuacji staje się jeszcze bardziej rażący na tle od dawna już prowadzonej walki z elitaryzmem sztuki, wobec jakże słusznych dążeń udostępnienia zdobyczy kultury wszystkim ludziom zdolnym myśleć i odczuwać.

Jeżeli w tej sytuacji współczesna muzyka znajduje aprobatę jedynie wśród nielicznej grupy ludzi podczas gdy ogół słuchaczów twierdzi, że muzyka ta jest zła — niekonsekwencje wkrazają już w krąg niepokojących zjawisk.

Tymbardziej, że ocena pracy twórczej nowych kompozytorów, mogąca nosić miano oceny społecznej w pewnej mierze jest sądem niesprawiedliwym. Nie dlatego, że dokonanym w części przez ludzi niedorosłych do krytyki, czy też ulegających niekorzystnej sugestii, czy nastawieniom, ale przede wszystkim przez swoją jednostronność oceniającą spotykany utwór jedynie miarą od dawna przyjętych upodobań i przyzwyczajeń. Środki jakimi operują współcześni muzycy są nowe i przez to wywołują sprzeciw. Nowa harmonia, nowy sposób instrumentowania musi poruszyć uznany dotąd porządek, musi stać się powodem niezadowolenia słuchaczów. Podobne konflikty spotykamy zawsze ilekroć sztuka odstępując od dotychczasowych kryteriów szuka nowych środków, nowych dróg do odkrycia prawdy.

Wszyscy biorący udział we wspomnianych przemianach powinni ocenić trud tych twórczych poszukiwań nawet wtedy jeśli w poszukiwaniach tych widzą błądzenie.

Przeczytajmy co pisze w posłowiu swej książki o Mozarcie Stefan Jarociński.

„Mozart nigdy nie odżegnywał się od przeszłości. Chłonął chciwie wszystko co mu ona miała do ofiarowania, ale geniusz jego wyrósł z tej epoki, w jakiej żył, z jej dążeń i aspiracji, z jej postępowych idei i z jej postępowej estetyki. A przy tym iluż to nieznanych nam już dziś kompozytorów zapładniało jego wyobraźnię twórczą, ile on im zawdzięczał. Nie lekceważmy więc muzyków nam współczesnych po tej czy po tamtej stronie sztucznej bariery, jaka przedziela dziś świat. Z ich trudu i znoju twórczego może wyrosnąć kiedyś przyszły Mozart."

Wacław Gluth-Nowowiejski

LISTY DO REDAKCJI

Z żywym zaciekawieniem śledziłem polemikę — tak, polemikę a nie dyskusję — na temat upodobań czytelniczych, przewijającą się przez łamy kilku niedawnych numerów „Dziś i Jutro".

Dyskusja nad sednem zagadnienia została zakończona i — takie jest przynajmniej moje zdanie — aczkolwiek podsumowanie jej dokonane zostało przez tego, który ją zapoczątkował, tzn. p. Lichańskiego, to jednak nie z jego strony padło decydujące w tej sprawie zdanie.

Nie jest moim zamiarem wszczynać tę dyskusję na nowo. Ale wydaje mi się, że w ogniu zapalczywej polemiki wystąpiło nowe zagadnienie, które powinno być omówione na płaszczyźnie szerszej niż zespołu redakcyjnego — powinno znaleźć oddźwięk w dyskusji grona czytelników czasopisma.

Tym zagadnieniem jest sama forma krytyki i związanej z nią polemiki.

1. P. Lichański wypowiadał się każdorazowo bardzo obszernie, zdania budował tasiemcowe i tym samym zawile, a „upiększał" je bogato określeniami obcego pochodzenia. A przecież im prostsze zdania tym wyraźniejsze i łatwiej przemawiają do świadomości przeciętnego czytelnika. Takich przeciętnych czytelników chyba „Dziś i Jutro" ma najwięcej, bo mimo swego wysokiego poziomu nie jest przecież pismem elitarnym. Tak samo niepożądana jest — moim zdaniem — ta „zagraniczna okrasa", która tylko zaciemnia sens wypowiedzi i naprawdę zmusza przeciętnego czytelnika do studiowania artykułów autora ze słownikiem wyrazów obcych w ręku. Rzekł kiedyś stary Rej z Nagłowic, że „Polacy nie gęsi, też swój język mają" i na przekór współczesnym stał się ojcem polskiej literatury.

2. P. Lichański ustalając pewne kryteria, dla których twórczość Cronina jest — jego zdaniem — pozytywna, kwestionował pozytywność twórczości Sienkiewicza i innych wielkiej miary pisarzy, mimo, że sam im przyznawał, przynajmniej pośrednio, te same kryteria, dla których wynosił na piedestał utwory autora „Kluczy Królestwa". Nie mogę powiedzieć, aby to było objawem konsekwencji, ale muszę stwierdzić, że w takim stawianiu sprawy jest również dużo subiektywizmu, czyli „upodobań osobistych".

3. Powiedział co prawda p. Lichański w jednym ze swoich artykułów, że jest człowiekiem złośliwym i upartym — nie uważam jednak za wskazaną złośliwość w formie wyrażonej w replice udzielonej p. Ostaszewskiemu. Przyznam szczerze, że moja reakcja na przeczytane zdanie: „niech mu tam pójdzie na zdrowie. Zarobił sobie jegomość parę groszy..." była bardzo specyficzna — przypomniały mi się polemiki wytartych politykierów różnych maści politycznych na łamach przedwojennych brukowców. Muszę stwierdzić przy tym, że podobna wypowiedź, niemal równie trywialna, wyglądająca jak protekcjonalne poklepywanie po ramieniu ze strony przedwojennych „mecenasów" sztuki, uraziła mnie już raz w numerze 456 „Dziś i Jutro", kiedy to p. Lichański, pisząc o wierszach młodych poetów powiedział, że „warto w ten interes zainwestować trochę miejsca w tygodniku i parę złotych honorarium". Specyficzna to zachęta do kontynuowania zapoczątkowanej twórczości. Czy takie winno być stawianie sprawy i taka replika ze strony tak poważnego, znanego i cenionego krytyka i publicysty, jakim niewątpliwie jest p. Lichański?

Boy Żeleński powiedział kiedyś, że każdego krytyka obowiązuje pewna konsekwencja. Powiedział również bardzo trafnie, że „krytyk jest czymś w rodzaju ogrodnika, który wedle sił swoich, zależnie od potrzeb gruntu i chwili, podpiera, chroni, podlewa, to znów przycina wybujałości, plewi i wyrywa zielska".

Ale to nie wszystko. Tak samo, jak nie wszystkim są utarte kanony, które określając funkcję krytyka, jako ocenę utworu z punktu widzenia jego zgodności z rzeczywistością, jego celowości i wartości artystycznej.

Moim zdaniem, wydając ocenę, krytyk (w najszerszym pojęciu):

1) musi się wyzbyć najdrobniejszego nawet subiektywizmu;

2) musi formułować swoje wypowiedzi jasno i prosto, w sposób przystępny i zrozumiały dla najszerszego ogółu czytelników;

3) jakiekolwiek byłyby jego usposobienie i cechy charakteru — musi wykazać pełne opanowanie i umiarkowanie, tzn. w dyskusjach i polemikach winien jak najwszechstronniej przestrzegać zasad „savoir-vivre'u", nie zezwalających na „wyskoki", tolerowane w mniej lub więcej towarzyskich, domowych lub przyjacielskich, w każdym razie prywatnych pogawędkach czy korespondencjach.

Uważam, Panie Redaktorze, że postawienie tej sprawy na płaszczyźnie dyskusji ogólnoczytelniczej przyniesie korzyść sprawie, której służy „Dziś i Jutro" i pozwoli uniknąć niesmacznych reminiscencji, które dzięki niektórym „chwytom", zastosowanym w ostatniej dyskusji, u czytelników niewątpliwie zostały wywołane.

Proszę Panie Redaktorze przyjąć wyrazy głębokiego poważania.

(—) H. Wróblewski
Lębork

SPROSTOWANIE

Do artykułu Konrada Eberhardta „Paradoks o wielkim aktorze" drukowanym w 42 numerze „Dziś i Jutro" ukazały się przykre błędy, za które Redakcja przeprasza Autora artykułu i Czytelników.

W szpalcie 3, w 23 od góry zamiast: „Czy pamiętam jego dziś całkowicie?" winno być: „Czy pamiętam go dziś całkowicie?".

W szpalcie 5 na pocz. rozdz. 3 z dwóch odrębnych zdań zrobiono jedno. Winno być: „Zamiast tego otwarta, pusta, surowa głębia sceny zamknięta kotarami lub ścianą ciemności. (w druku brak punktu i pierwszej litery nowego zdania). Z ubóstwem tym kontrastują wspaniałe kostiumy itd.".

W szpalcie 5, w środku czytamy zdanie: „W tym nieoczekiwanym awansie wydaje się zbliżać do kariery Tartuffe'a, który w wykonaniu w przemyślanej strategii życiowej". Winno być: „o przemyślanej strategii życiowej".

W szpalcie 5 u dołu przestawiono wiersze. Zdanie powinno brzmieć: „Oto w szacie obłudnego świętoszka stanie się niedosięgły dla ludzkich strzał..."

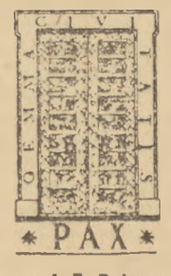

Ks. prof. E. Dąbrowski
GLOSSY I ODKRYCIA BIBLIJNE
str. 264 cena zł 25.—

Ks. M. Banach
SZLI ŚWIĘCI PRZEZ POLSKĘ
Żywoty świętych i błogosławionych polskich
str. 112 cena zł 15.—

Wanda Chylicka
UCIECZKA I POWRÓT
str. 188 cena zł 15.—

Hanna Malewska
PRZEMIJA POSTAĆ ŚWIATA
tom I/II
str. 392 + 374 cena zł 50.—

Leopold Buczkowski
CZARNY POTOK
str. 240 Cena zł 18.—

Etienne de Greeff
NOC JEST MOIM ŚWIATŁEM
str. 448 Cena zł 28.—

Tadeusz Brzostowski
PAWEŁ WŁODKOWIC
str. 160 Cena zł 16.—

Ks. Witold Pietkun
DOGMATYKA KATOLICKA
str. 244 Cena zł 18.—

Ks. M. Żywczyński
KOŚCIÓŁ A REWOLUCJA FRANCUSKA
str. 72 Cena zł 8.—

Wysyła **Biuro Sprzedaży „Pax"**, Warszawa, Mokotowska 43 za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO W-wa Nr I 8515/114. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3.— na koszt przesyłki. Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu".

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie Wkleśłodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5. 5 B-150126. Zam. nr 2457

KSIĄŻKI: recenzje omówienia

Ludwik Ehrlich — PAWEŁ WŁODKOWIC I STANISŁAW ZE SKARBIMIERZA. Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Warszawa 1954 r., str. 238.

Jedną z najwybitniejszych postaci wczesnego humanizmu w Polsce jest bez wątpienia Paweł Włodkowic z Brudzewa, dwukrotny rektor Akademii Krakowskiej i kanonik tamtejszej Kapituły. Jego poglądy i rola na Soborze w Konstancji 1414—1418 r., gdzie bronił on interesów polskich w sporze z Krzyżakami o zagarnięte przez nich ziemie pomorskie, były już niejednokrotnie omawiane przez naszych historyków, jak ks. Fijałek, Stanisław Krzyżanowski, Prohaska, Tymieniecki i inni, lecz przy całym podnoszeniu zasług Włodkowica znajdowali się oni nieraz jeszcze pod wpływem reakcyjnej historiografii niemieckiej, co przeszkadzało im należycie wydobyć postępowe i nowatorskie znaczenie prac naszego wielkiego uczonego z przełomu średniowiecza i czasów nowożytnych.

Poważnym krokiem w kierunku nowych badań w tym zakresie jest świeżo wydana, bardzo wartościowa monografia wybitnego znawcy prawa międzynarodowego prof. Ehrlicha, „Paweł Włodkowic i Stanisław ze Skarbimierza". Nie wyczerpuje on jeszcze bynajmniej zagadnienia, lecz słusznie uwypukla, że Paweł Włodkowic i współczesny mu Stanisław ze Skarbimierza byli twórcami polskiej szkoły prawa narodów, głoszącej postępowe na owe czasy doktryny i będącej prekursorem takich sław międzynarodowych na tym polu jak Vitoria, Gentilis i Grocjusz.

Prace i tezy Włodkowica przedstawione na ówczesnym kongresie międzynarodowym, którym był w istocie rzeczy Sobór w Konstancji, miały cel praktyczny poparcia stanowiska delegacji polskiej broniącej praw narodowych naszego kraju w sporze z Krzyżakami. Włodkowic wyszedł poza formalną metodę przedstawiania zbioru argumentów prawniczych dla poparcia naszego stanowiska, lecz zaatakował podstawy istnienia i zbójeckiej agresywności Zakonu Krzyżackiego, formułując zasady moralne prawa narodów, które przesądziły o nielegalności pretensji i działalności Krzyżaków.

Zasady te dotyczyły przede wszystkim odróżniania wojny słusznej czyli obronnej i niesłusznej, mającej na celu zabór cudzej własności oraz prawa nawet pogańskich ludów do własnej państwowości i niezawisłości. Stawiając te zasady jako prawo naturalne narodów Włodkowic przeciwstawia się nawracaniu pogan siłą zbrojną oraz neguje cesarzom i papieżom prawa wydawania Krzyżakom przywilejów upoważniających ich do zagarniania ziem „niekatolickich" pod pretekstem nawracania pogan na chrześcijaństwo. Pośrednim wnioskiem było afirmowanie suwerenności państwa polskiego i odrzucanie uniwersalistycznych pretensji cesarzy rzymsko-niemieckich.

Swego rodzaju naukową podbudowę tez Pawła Włodkowica dawał traktat Stanisława ze Skarbimierza „O wojnach sprawiedliwych", ubrany ówczesnym zwyczajem w formę kazania. Kazanie to, datujące się z czasów wojen polsko-krzyżackich 1410—1414 r., zawiera oparty na ówczesnych autorytetach naukowych i kościelnych wywód, że wojny o odzyskanie zagrabionych terytoriów są sprawiedliwe, a więc upoważniają również do kwestionowanego przez Krzyżaków posługiwania się posiłkowymi oddziałami schizmatyckimi i pogańskimi, jak to występowało w armii polsko-litewsko-żmudzko-ruskiej pod Grunwaldem.

Krytyka marksistowska wytknęła prof. Ehrlichowi nieuwzględnienie powiązania nowatorskich doktryn Włodkowica i Stanisława ze Skarbimierza z siłami klasowymi ścierającymi się wówczas w społeczeństwie polskim, lecz przyznała, że praca jego jest poważnym zapoczątkowaniem badań nad postępową myślą w pierwszej połowie XIV wieku.

S. Z.

Paweł Kubisz: „RAPSOD O OSZELDZIE", wyd. SLA-PZKO, Czeski Cieszyn, 1953. S. 78 2 nlb. Ilustracje Franciszka Świdra i Rudolfa Żebroka.

„Przednówek" Pawła Kubisza był książką, która zwróciła na siebie uwagę najpoważniejszych nawet krytyków i pisarzy. W „Ateneum" Napierskiego zamieścili entuzjastyczne niemal uwagi o niej Józef Czechowicz. W „Roczniku Literackim" za rok 1937 K. W. Zawodziński omawiając wzbierającą wówczas falę mody na poezję gwarową pisze o książce Kubisza: „Czy dlatego, że jej prosta uczuciowość, patriotyczna i społeczna, związuje ją bliżej ze środowiskiem, z którego wyszła, że czujemy w niej krążenie soków jej ziemi, czy też po prostu dlatego, że mamy do czynienia z mocniejszym i bardziej samorodnym talentem, tom ten pokonywa szczęśliwiej wszystkie dotąd wypowiedziane zastrzeżenia przeciwko poezji gwarowej. Duży udział elementu epickiego w balladach i opowieściach (...) wzmaga jeszcze bardziej kontakt tej twórczości z konkretną rzeczywistością..."

Ta opinia surowego i bardzo oszczędnego w szafowaniu komplementami wobec pisarzy krytyka świadczy, że już pierwsza książka Kubisza weszła do literatury jako dzieło sztuki wyrastające zdecydowanie ponad peryferyczny kulturowo krąg piśmiennictwa gwarowego.

„Rapsod o Oszeldzie" napisany jest polszczyzną literacką z wyjątkiem paru fragmentów przedstawiających bezpośrednio życie ludu śląskiego. Ta zmiana systemu językowego jest o tyle korzystna, że czyni utwór bardziej komunikatywny i uwalnia od piętna regionalistycznego ekskluzywizm, ale zarazem odsłania ona jednostronność talentu autora i staroświeckość jego nawiązującej do młodopolskich tradycyj poetyki. Kubisz nie umie opanować w dostatecznym stopniu skłonności do emfatycznej retoryki i w wyniku tego wątek epicki poematu gubi się w niekontrolowanych wylewach patetycznej deklamacji. „Rapsod" przemienia się w cykl wierszy lirycznych, nie tyle przedstawiających historię Oszeldy, ile raczej z a z n a c z a j ą c y c h ją.

Nie kwestie ściśle literackie są jednak w tym wypadku najważniejsze. Kubisz od początku swej działalności pisarskiej był poetą ludowym nie tylko jako wyraziciel odrębności swego regionu, ale również i jako piewca ludowego buntu przeciw klasowemu uciskowi i wyzyskowi. W „Przednówku" jednak ten element społeczny występował w sformułowaniach przypominających poezję rewolucyjną 1905 roku. Była to przede wszystkim poezja protestu moralnego, akcentująca sam fakt krzywdy, niedoli, poniżenia, politycznie raczej mglista i nie pozbawiona akcentów racjonalistycznych (już choćby przez to, że wyrażając region narodowościowo mieszany ograniczała się do przedstawiania wyłącznie środowiska polskiego). W „Rapsodzie" Kubisz sięga po tematykę z okresu Wiosny Ludów, a więc z tego momentu historycznego, kiedy po raz pierwszy w dziejach nowożytnego świata zryw rewolucyjny mas ludowych nabrał charakteru internacjonalnego. Bohater poematu, Oszelda, miał kontakty z międzynarodowymi ośrodkami ruchu rewolucyjnego i organizował powstanie, które miało być nie tylko powstaniem polskim, ale zarazem jednym z aktów ogólnoludowego ruchu wyzwoleńczego wszystkich narodów ciemiężonych przez habsburgską Austrię.

Oczywiście, temat tego rodzaju łatwiej zrealizować w powieści lub dramacie niż w poezji. Wymaga on uwzględnienia tylu elementów powiązanych w tak różnorodne relacje, że nawet dla najbardziej genialnego poety-epika byłby to trudny orzech do zgryzienia. Bądź co bądź jest wielką zasługą Kubisza, że zwrócił uwagę na postać śląskiego rewolucjonisty-internacjonalisty. Odżywa w nas znowu powieść historyczna i dramat historyczny. Czy nie warto byłoby okazać więcej zainteresowania bujnej i pięknej epoce Wiosny Ludów? Czy nie warto by, podejmując temat poruszony przez Kubisza, przypomnieć tragiczne losy śląskiego bohatera, Pawła Oszeldy?

Stefan Lichański

Młody wojownik wyspy Owa Raha w stroju świątecznym

TADEUSZ BIELICKI

Opowieść z mórz południowych

CIĘŻKIE, oszklone szafy wypełnione po brzegi rzędami opasłych tomów. Na jednej z górnych półek — długi szereg wyszczerzonych w bezgłośnym, wielozębnym uśmiechu ludzkich czaszek. Na ścianie olbrzymia mapa Oceanii: błękitna plama Pacyfiku usiana rojowiskiem białych, maleńkich wysepek. Na środku pokoju — biurko: stos upstrzonych cyframi papierów: tabele, równania, gmatwanina wykresów; suwak logarytmiczny, maszyna do liczenia, jakieś długie, metalicznie połyskujące cyrkle i przyrządy pomiarowe.

Od tego biurka wstaje na moje powitanie wysoki, szczupły mężczyzna lat około 45, o uderzająco przenikliwym spojrzeniu blado-niebieskich oczu, i wskazuje mi z uśmiechem krzesło. Siadam, biorę papierosa z podsuniętej paczki „Sportów" i — już po kilku minutach rozmowy uświadamiam sobie, że zaczyna się ze mną dziać to, przed czym żartobliwie „ostrzegali" mnie studenci jeszcze na korytarzu, zanim przestąpiłem progi Zakładu Antropologii Uniwersytetu Warszawskiego: zapadam w „trans", zasłuchany w najpiękniejszą baśń baśń-naukę o tajemnicy Mórz Południowych.

Rozmówcą moim jest docent dr Lech Godlewski, wybitny uczony, jeden z bardzo niewielu w Europie specjalistów od antropologii wysp Polinezyjskich — i na pewno jedyny w tej chwili w Polsce człowiek, który te peryferie naszego globu zna na wylot, bo zjeździł je sam, dokładnie, wzdłuż i wszerz. Było to na krótko przed wybuchem II wojny światowej, w latach 1937-38. Pytam przede wszystkim o szczegóły tej niezwykłej wyprawy.

— To była eskapada trochę „na wariata" — opowiada, śmiejąc się doc. Godlewski. — Właściwie pojechałem tam z ramienia ówczesnego Muzeum Etnograficznego w Łodzi, ale instytucja ta nie była w stanie udzielić mi żadnej pomocy poza... wypożyczeniem, na rewers, aparatu fotograficznego. Od państwa nie dostałem ani grosza. Wszystko co wydębiłem, to paszport zagraniczny. Jak sobie dałem radę finansowo? No, miałem trochę gotówki ciułanej specjalnie na ten cel jeszcze od czasów studenckich. Ale to była śmieszna suma. Starczyłaby może na bilet kolejowy do Marsylii, czy któregoś z innych portów francuskich. A ja chciałem przecież jechać „troszkę" dalej... Dokładnie na przeciwną stronę kuli ziemskiej. Widzi pan więc sam, z jakimi borykałem się trudnościami.

— I jak je Pan rozwiązał?

— Uporem. I pewną dozą szczęścia. Znalazłem kilku prywatnych „protektorów", u których zaciągnąłem pożyczki. Dług ten spłaciłem potem, po powrocie do kraju, z honorariów za prace naukowe i publicystyczne.

— Jak przebiegała trasa Pańskiej podróży?

— Niezbyt zawile. Najpierw Francja, potem przez Atlantyk do Meksyku i Panamy i stamtąd już prosto, jak strzelił, pięć tysięcy kilometrów przez Ocean Spokojny, na wyspy Oceanii Francuskiej. Kusiło mnie zajrzeć na Hawaje, ale na „skok" w tamtą stronę nie miałem już, niestety, środków. To jest jednak blisko 4 tys. km dalej na północ; kawał drogi, nawet jak na tamtejsze odległości. Podobnie ominąć musiałem słynną Wyspę Wielkanocna. A szkoda, bo to prawdziwa „Wyspa Tajemnicza", jeden splot nierozwiązanych dotychczas zagadek. Zwiedziłem natomiast dokładnie wyspy Towarzyskie, Tuamotu, Markizy, Tubuai i wyspy Cooka.

Pytam o wrażenia z podróży. Doc. Godlewski uśmiecha się.

— Są wciąż jeszcze świeże, choć to już lat przeszło 15. Polinezja to nieprawdopodobnie piękny zakątek ziemi. Wyspy są przeważnie maleńkie, koralowe lub wulkaniczne. Klimat bajeczny, z bardzo niewielkimi rocznymi wahaniami temperatury; wieczna wiosna. Przywiozłem trochę zdjęć stamtąd, niech pan zobaczy.

Z szuflady biurka wynurza się gruby album pełen kolorowych fotografii. Przekartkowuję go zachłannie. Rozczapierzone sylwetki palm kokosowych. Spokojne, niewiarygodnie bękitne morze. Płomiennookie słońce nurzające się za horyzont nad cichą, płaską jak lustro wodą laguny. Brązowoskóre dziewczęta ze szkarłatnymi kwiatami we włosach w rytualnym tańcu wokół wielkiego ogniska. Młodzi ludzie o muskularnych ramionach i ciałach gladiatorów, pchający gibkimi ruchami wioseł długie, wąskie canoe...

— Polinezyjczycy — opowiada doc. Godlewski — są jedną z najpiękniejszych ras ludzkich na ziemi. Wysocy, smukli, o skórze koloru mlecznej kawy i smoliście czarnych włosach, rysy twarzy mają miękkie i harmonijne. Odznaczają się wspaniałą sprawnością fizyczną, pływają i nurkują jak ryby. Są niesłychanie gościnni, a przy tym mają w sobie jakąś tego rodzaju wewnętrzną subtelność i kulturę zachowania, której by długo trzeba szukać wśród niejednego społeczeństwa mieniącego się chełpliwie „wysoko cywilizowanym". Pamiętam, jak kiedyś w Papeete, na wyspie Tahiti, natknąłem się na turystów amerykańskich. Na tle krajowców — ta hałaśliwa, bezczelna, ekstrawagancko ubrana grupa robiła na mnie wrażenie ludzi już nie tylko źle wychowanych, ale chwilami wręcz pomylonych, słowo panu daję! Niestety, „cywilizacja" przychodzi na te wyspy właśnie z USA, „cywilizacja", rozumie się, w swym najbrudniejszym, skomercjalizowanym i kolonialnym wydaniu.

Pytam z kolei doc. Godlewskiego o szczegóły jego obecnej pracy naukowej.

— Słyszałem, że ostatnie prace Pana Docenta dotyczące składu rasowego ludności Polinezji zrobiły furorę za granicą. Czy zechciałby Pan przedstawić mi krótko problematykę tych prac?

— Zajmuję się kwestią etnogenezy Polinezyjczyków, tzn. zagadnieniem ich geograficznego i rasowego rodowodu. Skąd przybyli ludzie na te dalekie wyspy? To jest fascynująca sprawa. Jest grupa antropologów, która twierdzi, że przodkowie dzisiejszych Polinezyjczyków dostali się na środkowy Pacyfik od strony wschodniej, tzn. z kontynentu amerykańskiego. Hipoteza ta ma jednak za sobą dość nikłą ilość dowodów. Jednym z takich dowodów ma być np. osławiony patat „kumara", roślina występująca zarówno na Polinezji jak i w Peru, przy czym — rzecz dziwna — zarówno Polinezyjczycy jak i Indianie peruwiańscy mają na jej określenie nazwę o identycznym brzmieniu. Tego rodzaju fakty są istotnie zastanawiające, jest to jednak w sumie materiał zbyt kruchy jak na fundament całej wielkiej teorii etnogenetycznej. Wielu badaczy przeczyło zresztą w ogóle fizycznej możliwości jakiejś masowej migracji z Ameryki na Polinezję, a to z uwagi na wielką odległość i — proszę spojrzeć na mapę — wybitnie w tej części „pusty" ocean, bez żadnych prawie wysp po drodze; przy stosunkowo prymitywnych środkach lokomocji, jakimi dysponowali pierwotni żeglarze, przeprawa taka musiałaby być przedsięwzięciem bardzo ryzykownym. Aby ten zarzut obalić kilku młodych uczonych skandynawskich, zapalonych zwolenników „teorii amerykańskiej", postanowiło dać „własnoręcznie" żywy dowód możliwości takiej przeprawy. Zbudowali oni drewnianą tratwę, dokładnie na wzór starych tratw peruwiańskich i wyruszyli z wybrzeży Peru na zachód, ku Polinezji. Po kilku tygodniach morskiej włóczęgi udało im się istotnie dotrzeć do archipelagu Tuamotu. Działo się to przed paru laty, już po wojnie. Ale nawet ten wyczyn, mimo całej swej romantyki i awanturniczego uroku, nie przekonał ogółu antropologów. Ugruntowuje się coraz silniej przekonanie, że ludność Polinezji jest azjatyckiego pochodzenia, tzn. że przodkowie dzisiejszych Tahitian, Samoańczyków czy krajowców Hawaii, przybyli na Pacyfik z zachodu, gdzieś od strony wysp Sundajskich i Indochin.

Połów ryb na archipelagu Owa Raha

— Jakie fakty przemawiają za tą hipotezą?

— Wielorakie: geograficzne, językoznawcze, kulturowe i antropologiczne. Faktem geograficznym wielkiej wagi jest to, że Centralną Polinezję łączy z cokołem kontynentu azjatyckiego prawie nieprzerwany łańcuch wysp — sytuacja właśnie odwrotna niż ta, którą widzimy po stronie amerykańskiej. Proszę znów spojrzeć na mapę. Widzi pan? Wyspy Fidżi, Nowe Hebrydy, archipelag Salomona, Nowa Gwinea, Molukki, Indonezja — i już Azja! Że ten łańcuch mógł odegrać rolę wybornego pomostu ułatwiającego stopniowe posuwanie się „skokami" od strony Azji coraz dalej wgłąb Oceanii — taki wniosek musi narzucić się natychmiast. Potwierdzają to badania językoznawcze. Powiem tu panu nawiasem, że narzecza polinezyjskie należą do najpiękniejszych pod względem fonetycznym języków świata. Ich najbardziej uderzającą cechą jest bogactwo samogłosek i bardzo mała ilość spółgłosek — stąd ta ich niesłychana śpiewność i miękkość. *Kahoolawe, Lahaina, Oahu, Sawaii Mauna Loa, Kilauea* — jak się panu podobają te nazwy? Mowa jakby stworzona do poezji i śpiewu... Gdybym był poetą powiedziałbym, że jest w niej szept palm i muzyka oceanu i wiele innych jeszcze rzeczy — całe bajkowe piękno tamtejszej przyrody. Ale zostawmy poezję i wróćmy do nauki. Otóż językoznawcy ustalili, na podstawie ścisłych badań porównawczych, że narzecza polinezyjskie są spokrewnione z językami grupy indonezyjsko-malajskiej, a więc z językami azjatyckimi. Nie ma w nich natomiast żadnych nawiązań do języków staro-amerykańskich! Fakt bardzo znamienny, prawda? Co więcej: archeologowie ze swej strony doszukali się w kulturze materialnej dawnych mieszkańców Polinezji wyraźnych związków z tzw. wczesno-megalityczną kulturą Azji Południowo-Wschodniej. Wreszcie w mitologii polinezyjskiej zachowały się do dziś stare podania o jakiejś legendarnej krainię przodków „skąd przybyli ojcowie" i leżącej — niech pan zwróci uwagę — „w stronie, gdzie ogniste oko (słońce) co wieczór zanurza się w wodę". A więc znowu — zachód, kierunek — Azja!

— To istotnie wygląda bardzo przekonująco. A co na ten temat mówi antropologia? Badania składu rasowego Polinezyjczyków?

Docent Godlewski kładzie dłoń na leżącym na biurku arkuszu zapisanym gęsto kolumnami cyfr.

— Widzi pan, o to właśnie pokusiłem się — o odpowiedź na to pytanie. Ostateczne rozstrzygnięcie kwestii może bowiem w tym wypadku przyjść jedynie z tej strony.

— Dlaczego?

— Dlatego, że zagadnienie składu rasowego da się ująć liczbowo. Antropologia dzisiejsza dysponuje ścisłymi, w znacznej już mierze „zmatematyzowanymi" metodami. A w każdej nauce jest podobno tyle tylko prawdy, ile w niej jest matematyki — to już powiedział staruszek Kant. Tam, gdzie uda się jakieś zagadnienie ująć matematycznie — tam znika wszelka jałowa gadanina, możliwe staje się ścisłe sprecyzowanie pojęć i dojście do jednoznacznego, całkowicie obiektywnego rozwiązania. Nie wiem, czy pan mnie rozumie?

— Sądzę, że tak — jeśli chodzi o założenie ogólne. Nie potrafię sobie tylko wyobrazić, w jaki sposób można ująć w suche formułki matematyczne rzecz tak skomplikowaną, jak skład rasowy społeczeństwa ludzkiego. To mi się trochę nie mieści w głowie.

— Niech się pan pocieszy tym, że nie może się to pomieścić w głowach nawet wielu zawodowym uczonym, np. większości antropologów anglo-saskich. Anglo-saska antropologia rasowa przedstawia dziś obraz nader smętny, zdystansowaliśmy ją o pół wieku. Trzeba panu wiedzieć, że metody matematyczne wprowadził po raz pierwszy do antropologii rasowej Polak, Czekanowski. A ostatnio dokonał w nich kapitalnych udoskonaleń wybitny antropolog wrocławski, dr Adam Wanke.

— Jakież to metody?

— Np. słynna metoda diagramów, albo — rewelacja lat ostatnich — niezwykle pomysłowa metoda tzw. „punktów odniesienia", wynaleziona przez Wankego. Jeśli pan się nie boi groźnych słów, powiem panu, że nazywają ją również „metodą stochastycznej korelacji wielorakiej".

— Hmm...

— Biorąc rzecz najogólniej, metody te polegają na tym, że w pewnej wybranej do badania populacji (grupie) ludzi przeprowadza się najpierw szereg indywidualnych pomiarów każdego osobnika (głównie pomiarów czaszki), a następnie na tak otrzymanym materiale liczbowym dokonuje się pewnych operacji matematycznych, w których rezultacie można wyodrębnić w tej populacji jej składniki rasowe, niejako „rozszczepić" ją na elementy składowe. Tymi elementami są tzw. typy antropologiczne, tj. zbiory osobników odznaczających się pewnym określonym zespołem „sprzężonych" ze sobą cech fizycznych. Sformułowania trochę abstrakcyjne, prawda? Dam panu przykład. W Europie środkowej i północnej, zwłaszcza w krajach skandynawskich, występuje często pewien charakterystyczny typ człowieka zwany nordykiem: wysokorosły, jasnowłosy i niebieskooki, o pociągłej twarzy, wąskim nosie i jasnej cerze. Nordyk jest właśnie klasycznym przykładem tego, co nazywamy typem antropologicznym. Otóż te składniki rasowe nie zawsze występują w postaci czystej, częściej — na skutek wykrzyżowania — w postaci „przymieszek", które są prawie nieoznaczalne „na oko". Wykrywa je dopiero analiza statystyczna. Bliżej panu tego wszystkiego wyjaśnić nie jestem w stanie, musiałbym pana uraczyć porcją równań z rachunku prawdopodobieństwa.

— Raczej rezygnuję... Interesują mnie przede wszystkim wyniki, do których Pan Docent doszedł za pomocą tych metod w zagadnieniu pochodzenia Polinezyjczyków. Czy wyniki te potwierdzają hipotezę „azjatycką", czy „amerykańską"?

— „Azjatycką", i to w całej rozciągłości. Polinezyjczycy okazali się grupą dość złożoną. Są w nich wykrzyżowane elementy wszystkich 3 głównych odmian człowieka: białej, żółtej i czarnej. Udało mi się wyosobnić typ pacyficzny, orientalny, mediterranoidalny i kilka innych. Obawiam się, że te nazwy niewiele panu mówią. Ważne jest to, że wszystkie te składniki pochodzą z całą pewnością z kontynentów Starego Świata; przypuszczenie, że przybyły one na Polinezję z Ameryki jest niedorzeczne. Nigdzie natomiast, w całej Polinezji, nie stwierdziłem nawet śladów obecności tzw. typu paleo-amerykańskiego, składnika niezmiernie charakterystycznego dla Indian Ameryki Południowej! Wniosek chyba jasny.

— Jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Mówiąc o trasie swej podróży wspomniał Pan Docent Wyspę Wielkanocną i nazwał ją „Wyspą Tajemniczą". Przepadam za wszelkiego rodzaju tajemnicami. Czy można prosić o kilka słów na ten temat?

Doc. Godlewski podchodzi do mapy i wskazuje linijką maleńki, biały punkcik leżący zupełnie samotnie, zdala od innych archipelagów, na olbrzymim, niebieskim jak farbka do bielizny oceanie.

— To jest Wyspa Wielkanocna, zwana przez krajowców Rapa Nui. Jest to jedna z najbardziej izolowanych wysp świata; widzi pan więc, że już w samym jej położeniu jest coś niezwykłego. Otóż wzdłuż brzegów tej wysepki stoją ogromne, kamienne posągi — głowy ludzkie zwrócone twarzą do morza. Nie wiemy, kto i kiedy je tam ustawił. Co najciekawsze, te zagadkowe posągi pokryte są pismem, nie odczytanym do dziś. Badania nad nim prowadził niedawno uczony radziecki, Kudriawcew. A rzeczą już zupełnie niesamowitą jest fakt, że wiele znaków tego pisma wykazuje uderzające podobieństwo do staroegipskich hieroglifów! Do tej paczki zagadek dorzucę panu jeszcze jedną. Oto w badanej przeze mnie serii czaszek pochodzących z tej wyspy stwierdziłem obecność tzw. typu paleo-śródziemnomorskiego, znanego poza tym z młodszej epoki kamiennej Europy! Rozumie pan? Europy! Widzi pan więc — kończy z uśmiechem doc. Godlewski — że Rapa Nui jest istotnie „Wyspą Tajemniczą". Ale niech pan wierzy w naukę. Rozwiążemy z czasem i tę tajemnicę, na pewno.

*

Kiedy wychodzę z gmachu Instytutu Antropologii jest już ciemno i wiatr zamiata zeschłe liście po uniwersyteckim dziedzińcu. Idę powoli, ssąc wygasłego już od kilku minut papierosa i myślę coś, co w sformułowaniu jest może okropnie banalne, ale co nie zawsze uświadamiamy sobie z całą mocą: że owa „pasja poznawcza" to rzecz chyba najpiękniejsza w człowieku.

Tadeusz Bielicki

KILKA SŁÓW

o teatrze

PO POWROCIE „MAZOWSZA" Z FRANCJI

W Ministerstwie Kultury i Sztuki odbyła się konferencja prasowa w związku z powrotem „Mazowsza" z Francji. Minister Sokorski przekazał serdeczne podziękowania i wyrazy uznania kierownictwu zespołu z prof. Sygietyńskim, Mirą Zimińską i dyr. Dworakowskim oraz wszystkim członkom „Mazowsza".

Występy „Mazowsza" obejrzało we Francji 43 tys. ludzi, a prawie 30 tys. nie mogło dostać biletów. Zespół podbił publiczność francuską urokiem naszego folkloru, wysokim poziomem artystycznym, świetnym tańcem i barwnością kostiumów. Niezwykle serdeczne przyjęcie zgotowali kierownictwu i członkom zespołu górnicy polscy w Lille i Nancy.

NOWE SZTUKI NA SCENACH PROWINCJONALNYCH

W poprzednim numerze naszego pisma zasygnalizowaliśmy szereg nowych premier, które wkrótce wejdą na sceny warszawskie, krakowskie i łódzkie. Obecnie informujemy o dalszych sztukach, które niebawem ujrzymy na scenach naszych miast. Teatr w Białymstoku wystąpił z premierą „Młodości ojców" Gorbatowa, mieszkańcy Bydgoszczy i Torunia oglądają sztukę Lessinga „Minna von Barnhelm" oraz „Małżeństwo Kreczyńskiego" Suchowo Kobylina. Teatr lubelski przygotowuje „Candidę" Shawa, zaś stalinogrodzki wystawi wkrótce „Norę" Ibsena. Na sceny teatrów wrocławskich wchodzi sztuka Ostrowskiego „I koń się potknie" oraz „Igraszki trafu i miłości" Marivaux. Dużym powodzeniem cieszą się w teatrze częstochowskim „Igraszki z diabłem" Drdy. Jak widzimy rok teatralny kończy się ciekawie, oby równie, a i jeszcze bardziej interesująco zaczął się rok przyszły na naszych scenach.

KABARET ZACHODNIO-NIEMIECKI W BERLINIE

Dom Prasy w Berlinie gościł zachodnio-niemiecki zespół kabaretowy „Die Kabarettiche". Program artystyczny oparty głównie na pantomimie, podbudowanej tłem muzycznym, wypełniła satyra na stosunki w Niemczech zachodnich. Wielkim powodzeniem cieszył się numer programu, w którym za pomocą gestów stworzono świetne karykatury typowych urzędników pruskich od roku 1900 poprzez 1933 i 1945, aż po rok 1954. Reżyserem spektaklu i głównym odtwórcą był świetny komik C. A. Müller.

o filmie

NA NASZYCH EKRANACH

Na ekranach naszych ukaże się wkrótce (w początkach grudnia) świetna komedia francuska „Wakacje pana Hulot", w której występuje znany komik Jaques Tutti. Jeszcze wcześniej, bo w końcu listopada odbędzie się premiera głośnej komedii włoskiej „Policjanci i złodzieje". (Jedną z głównych ról w tym filmie kreuje znany nam z „Cudu w Mediolanie" — „Toto"). Ponadto w grudniu wejdzie na ekrany kilka innych filmów zagranicznych. Ogólna liczba prapremier filmowych wyniesie w bieżącym roku 60 obrazów. (Wprawdzie liczba ta jest mniejsza od zaplanowanej i stanowczo — niedostateczna). Film Polski obiecuje na rok 1955 radykalny przełom, wyrażający się wydatnym zwiększeniem ilości filmów na naszych ekranach.

LILIAN GISH ZNOWU NA EKRANIE

Wszyscy starsi miłośnicy X muzy pamiętają dobrze pełną uroku aktorkę filmu niemego i dźwiękowego (występującą w rolach charakterystycznych) — Lilian Gish. Rozpoczynając swą karierę przed pierwszą wojną światową w niemych obrazach Griffitha — stała się ona wkrótce jedną z najbardziej znanych i popularnych aktorek filmowych międzywojennego dwudziestolecia. Obecnie — po ośmioletniej przerwie — Lilian Gish powraca znów do filmu. Wystąpi ona w jednej z głównych ról filmu reżyserowanego przez równie znanego aktora charakterystycznego Charlesa Laughtona (m. in. odtwórcę roli Quasimoda w „Dzwonniku z Notre Dame"), który występuje po raz pierwszy jako realizator.

NOWE FILMY W NRD

W atelier filmowym DEFY rozpoczęto nakręcanie nowej komedii: „Szczęśliwy — kto ma swoją żonę". W filmie tym, reżyserowanym przez R. Brandta, wystąpi zachodnio-berlińska aktorka — Leni Marenbach. Bardzo interesujący jest film o starym Berlinie pt. „Przed zabawą" realizowany przez Curta Boisa wg scenariusza W. Bernharda. Zabawną komedię „Oszukana — nie płaci" — opartą o scenariusz laureata Nagrody im. Goethego - Paula Wiense — realizuje Conrad Wolff. Miejmy nadzieję, iż wszystkie te ciekawe filmy ujrzymy wkrótce na naszych ekranach.

FILM O „MOBBYM DICKU"

Amerykański reżyser John Huston (twórca niedawno zrealizowanego a już głośnego filmu o wielkim malarzu paryskim Toulouse-Lautrec'u pt. „Moulin-Rouge") przystąpił do realizacji w londyńskim atelier filmu będącego ekranizacją znanej klasycznej powieści amerykańskiej Melville'a (wznowionej niedawno u nas przez PIW) „Mobby Dick". Główną rolę odtwarzać będzie Gregor Peck. Zdjęcia plenerowe do tego filmu nakręcane były na pokładzie starego kutra wielorybniczego na wodach północnego Atlantyku.

o muzyce

ŻYWE WYDANIE DZIEŁ CHOPINA

Z inicjatywy Towarzystwa im. Fryderyka Chopina rozpocznie się 2 listopada Żywe Wydanie Dzieł Chopina, obejmujące wszystkie kompozycje wielkiego muzyka łącznie z pieśniami. Impreza obejmuje 14 koncertów wykonywanych w każdy wtorek w sali Teatru Narodowego przez „seniorów" naszej sztuki pianistycznej, a nie jak wielu mylnie przypuszcza, przez kandydatów do V Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego.

WOKÓŁ KONKURSU CHOPINOWSKIEGO

Przygotowania do V Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego wkraczają w decydującą fazę. Organizatorzy zaprosili już wielu muzyków z całego świata do wzięcia udziału w Jury konkursowym. Sprowadza się kilka doskonałych fortepianów marki Pleyel, dopilnowuje robót wykończeniowych przy odbudowie gmachu Filharmonii.

Nasi kandydaci do konkursu przeszli w tych dniach ostatnią eliminację, po której wyłoniona została ekipa reprezentująca Polskę. Rekordowa ilość zgłoszeń do konkursu wskazuje, że impreza Chopinowska zdobywa coraz większe zainteresowanie i poularność na całym świecie.

o wszystkim

FIELDING — DRAMATURG

8 października minęło 200 lat od śmierci Henry Fieldinga, wybitnego pisarza angielskiego Oświecenia, którego pamięć czci w tym roku cała postępowa ludzkość obok Arystofanesa, Czechowa i Dworzaka. Wśród jego bogatej twórczości znajduje się również, choć mało się o tym wie, 26 najróżniejszego gatunku sztuk teatralnych. Fielding zaczął właściwie od sceny i dopiero gdy Walpole powołał przeciw niemu instytucję cenzury i zakazał w sztukach tematyki politycznej, przerzucił się do powieści. Shaw tak to po latach sprecyzował: „Wygnany z cechu Moliera i Arystofanesa Fielding przeszedł do cechu Cervantesa, i odtąd powieść angielska stała się dumą literatury, podczas gdy angielski dramat — jej hańbą". Fielding zaczął od komedii obyczajowych: „Elegant z Temple", „Sędzia w pułapce" i scenicznej parodii: „Tragedia tragedii", potem zdobył rozgłos farsami politycznymi: „Don Kichot w Anglii", „Paskwin", „Kalendarz historyczny na rok 1736", atakując z arystofanesowską śmiałością biedy społeczne epoki. Ustami Don Kichota stwierdzał: „bogactwo i władza gromadzą się w ręku jednego kosztem zguby tysięcy". Tego rodzaju wypowiedzi odcięły mu w końcu drogę do sceny.